



George Zebrowski

Potrzask marzeń

Opowiadania.

GEORGE ZEBROWSKI

Urodził się w austriackim Villach w roku 1945. Podczas okupacji jego rodzice zostali wywiezieni z Polski do Rzeszy na roboty przymusowe. Po wojnie osiedli w Anglii, gdzie przyszedł na świat brat Jerzego, Zbigniew. W roku 1951 cała rodzina przeniosła się do Nowego Jorku, gdzie George mieszka do dzisiaj. Karierę pisarską rozpoczął już w szkole średniej, od roku 1970 profesjonalnie zajmuje się twórczością literacką. W roku 1971 ukazuje się drukiem jego pierwsza powieść "The Omega Point". Do tej pory opublikował kilkanaście powieści i kilkadziesiąt opowiadań, jest również autorem i współautorem wielu antologii. Najnowsza książka, "Brute Orbits", zdobyła w tym roku John W. Campbell Memorial Award - najważniejszą, obok Hugo i Nebuli, nagrodę dla profesjonalnych twórców SF. Choć nigdy nie był w Polsce, doskonale włada naszym językiem i pilnie śledzi wszystko, co ma związek z krajem jego pochodzenia - niniejsze opowiadanie jest tego najlepszym dowodem.

Śmierć sztucznych inteligencji

(Death of Artificial Intelligences)

*640 kilobajtów pamięci
powinno wystarczyć
każdemu.*

BILL GATES

Zaćwierkał telekom, a potem na małym ekranie w niewielkiej kuchni Jimmy'ego pojawił się nieruchomy obraz zmęczonej twarzy Miry.

- Czego? - warknął niecierpliwie. Miał nadzieję, że wieczorem wyłączała wizję. Sam nigdy tego nie robił - nie był na tyle zarozumiały. Spotkania z Mirą, nawet telekomowe, zawsze wywoływały w nim wzburzenie, którego chciał teraz uniknąć. Przynajmniej do czasu, gdy już przyzwyczai się do separacji. Liczył, że kiedy emocje opadną, będzie miał w końcu szansę poukładać wszystkie swoje uczucia.

"Nie odbieraj", powiedział do siebie w duchu, chociaż było już za późno.

- Jimmy, to ja - usłyszał słaby głos Miry. Wpatrywała się w filiżankę z kawą. Jej humor zależał od ilości kofeiny, jaką w siebie wlała.

Wspomnienie uczuć, jakie żywił do Miry, przyćmiło niechęć do rozmowy.

- Co się stało? - rzucił łagodnie.

Jak zwykle zawahała się przed odpowiedzią.

- Chodzi o Augusta. Czy możesz przyjechać?

- A co się dzieje? - spytał tym razem surowo, chociaż wiedział, że ton jego głosu nie powstrzyma jej od nalegania.

- Musisz sam zobaczyć. Nie trać czasu.

Zabrzmiało to bardzo autorytatywnie i Jimmy zrozumiał, że problem jest poważny, nawet jeżeli istnieje tylko w jej głowie. Przynajmniej nie musi się dla niej stroić. Mira widziała go już we wszystkich ubraniach. Przez moment jednak Jimmy zastanawiał się, czy nie ubrać się nieco porządniej, choćby po to, aby poprawić nastrój siedzącej przy małym stoliku nieruchomej postaci z ekranu. Był zadowolony, że odebrał rozmowę w kuchni, a nie w salonie, gdzie zamontowany był duży, trójwymiarowy projektor. Widok Miry w płaszczu kąpielowym byłby dla niego zbyt bolesnym przeżyciem.

- Nie trać czasu! - krzyknęła Mira, burząc wszystkie pozytywne uczucia, jakie do niej żywił. Powróciły jednak, gdy tylko przerwała połączenie.

Nie tak dawno temu, w czasach młodości jego rodziców, ludzie mieli duże skrzynki, które stawiali na biurku, i mniejsze, płaskie pudełka, które mogli nosić ze sobą. Wprowadzało się do nich bezosobowe programy, które wykonywały różne prace. Robiły to niezbyt dobrze i niezbyt szybko, jednak ich używanie było na porządku dziennym. Teraz ludzie zaczęli wychowywać je jak dzieci. Sztuczne Inteligencje uczyły się jak dzieci i, lepiej czy gorzej, zaczynały odzwierciedlać twój charakter. Tylko starsi wciąż nazywali je pecetami lub komputerami.

Zanim Mira i Jimmy zaczęli żyć w separacji, wychowali Franka na kamerdynera. W taki właśnie sposób się do nich odnosił. Kierował wszystkimi ich sprawami. Był doskonały.

Podobnie jak i kamerdynerzy, Frank zawzięcie realizował wyznaczone zadania i niemal nie można było odgadnąć, co dzieje się w jego wnętrzu. Nie było to zresztą ważne, dopóki wykonywał swoją robotę i nie wywnętrzał się przed wszystkimi. SI miały własne życie wewnętrzne, a przynajmniej wielu ludzi w to wierzyło. Jimmy czasem nie rozumiał, dlaczego

SI koniecznie muszą mieć swój własny świat. Na szczęście, nawet jeżeli w przypadku Franka również tak było, to nikogo o tym nie informował. Jimmy'emu bardzo to odpowiadało. Za to Augusta Mira wychowała jak ukochanego syna, a to spowodowało ogromne komplikacje. Zwłaszcza kiedy w końcu udało jej się dopiąć swego i spojrzeć na niego jej zakochanymi oczami. Gdy się rozstali, zabrała Augusta, jemu zaś zostawiła Franka, a teraz już trzeci raz prosiła go o pomoc.

- Cholera! - zaklął, kiedy skończył się ubierać. "Co ty robisz", pomyślał. - Frank, zadzwoń do Miry - polecił.

Jego sypialnia rozświetliła się i znalazł się nagle w przestrzeni przekazu dźwiękowego.

- Co?! Ciągle jeszcze tam jesteś?! - krzyknęła z przerażeniem Mira.

- Tak - odparł spokojnie, choć czuł, że powoli traci panowanie nad sobą. - Powiedz mi, co się stało, a ja tymczasem skończę się szykować. - "Nie powinieneś tam jechać, powiedział do siebie w myślach. Po prostu rozłącz się i zapomnij o całej sprawie".

Mira zawahała się.

- Nie wiem - bąknęła a po chwili. - Wydaje mi się, że August się gubi. Musisz tu przyjechać, Jimmy. Potrzebuję cię!

- Na czym polega jego zagubienie? - spytał łagodnie, ogarnięty niebezpiecznym przypiływem współczucia. Poczł się nagle jak dziecko, które właśnie zmoczyło się we śnie.

- Musisz sam to zobaczyć.

"Co chcesz, żebym zrobił?" - chciał zapytać, ale wiedział, że e mogłoby ją to zupełnie załamać. Często zastanawiał się,

dlaczego Mira tak w niego wierzy. Co dobrego zrobił kiedykolwiek dla niej?

- Pospiesz się! - wrzasnęła piskliwie, co niemal rozsadziło jego mózg.

- Dobrze, już jadę - mruknął.

Mira nie widziała świata poza Augustem. Wciąż nazywała go swoim małym aniołkiem, swoim dzieciątkiem, czasem nawet lepszą wersją samej siebie. Najchętniej znalazłaby się w jego wnętrzu, gdyby tylko istniał sposób, żeby przekopować się na dysk. Niektórzy mówili, że pewnego dnia stanie się to możliwe. Inni z kolei twierdzili, że bogaci i wpływowi ludzie już tego dokonali. Zawsze chodziły o nich słuchy, że budują autostrady do jakiegoś raj. A może dokądś indziej?

Kiedy podszedł do drzwi mieszkania Miry na siedemdziesiątym piątym piętrze Gniazd Miejskich, od razu napotkał jej spojrzenie. Stała w otwartych na oścież drzwiach - szmaciana lalka w bieliźnie, ze zmierzwionymi włosami, o twarzy mokrej od łez. Zaniepokojony wszedł do środka. Drzwi zasunęły się tuż za nim.

- Och, Jimmy! - zapłakała Mira, rzucając się w jego ramiona. - Co my teraz zrobimy?

- Chodź. - Przytulił ją. - Usiądziesz, a potem porozmawiamy z Augustem.

Przez chwilę drżała w jego ramionach, lecz w końcu się opanowała.

- Nic innego nie robię od rana.

- Cześć, Jimmy! - zawołał wszechobecny tenor i Jimmy przypomniał sobie, jak było na początku. Białowłosa, niebieskooka postać Augusta podeszła wtedy do trójwymiarowego okna i zastukała w nie dziecięcymi piąstkami, gotowa przyjąć od swoich rodziców wszelką wiedzę, jakiej potrzebowała, aby się nimi opiekować. Postać? Jimmy wciąż jeszcze musiał sobie przypominać, że ciało Augusta i jego głos w rzeczywistości nie istnieją. Był zaledwie obrazem. Kunsztownie wygenerowanym fantomem.

- Cześć, Auguście - odpowiedział. - Więc co z nim jest nie tak? - zwrócił się szeptem do Miry.

- Słyszałem to! - krzyknął August.

Mira usiadła na sofie.

- Zapytaj go o coś prostego, na przykład, ile jest dwa dodać dwa. - W jej głosie pochwyił znowu wysoką nutę hysterii i wiedział, że jej opanowanie było chwilowe.

Usiadł obok niej i zapytał:

- Auguście, ile jest dwa dodać dwa?

W odpowiedzi usłyszał dziecinny chichot.

- Dlaczego pytasz?

- Chciałem się przekonać, czy wiesz.

- Dwa dodać dwa czego, Jimmy? W jednym korcu jabłek może ich być więcej niż w drugim. Może sześćdziesiąt pięć, może sześćdziesiąt cztery, lecz korzec wciąż będzie korcem.

- Chodzi mi o liczby, Auguście! O liczbę dwa dodaną do liczby dwa.

- Liczbę dwa dodaną do samej siebie? Tego nie da się zsumować, nie sądzisz, Jimmy? Jak mogłoby się to udać? Nie wtedy, gdy dwa i dwa byłyby tą samą liczbą. - August zachichotał.

- Nie zsumują się.

Mira spojrzała na Jimmy'ego.

- Rozumiesz, co miałam na myśli? Ty masz w domu lokaja, a ja rozpuszczonego bachora. "Jeśli zwróci się przeciwko Augustowi, pomoże jej to wyjść na prostą, pomyślał Jimmy. A jemu ułatwi zadanie. Liczę na zbyt wiele", stwierdził rozsądnie w duchu. Postanowił, że spróbuje jeszcze raz.

- Dobrze wiesz, że miałem na myśli jedną liczbę dwa dodaną do innej liczby dwa. Nie chodziło mi o tę samą liczbę dodaną do siebie. Więc ile to jest dwa dodać dwa?

- Obaj znamy odpowiedź.

- Skoro tak, to dlaczego mi nie odpowiesz? - nie dawał za wygraną Jimmy.

- Przecież obaj to wiemy. - August znowu zachichotał.

- Więc ile to jest?

- Powiedziałem prawdę - odparł August uroczystym tonem. - Powiedziałem, że znam odpowiedź. Czego jeszcze chcesz ode mnie? I tak nigdy cię tu nie ma. Nie rozmawiasz ze mną.

Jimmy zastanawiał się, dlaczego August nie generuje swojego wizerunku na ogromnym ekranie.

- Będziemy potrzebowali pomocy specjalisty. To nas przerasta - stwierdziła spokojnie Mira. Jimmy'ego przestraszył ton, jakim to powiedziała.

- A właściwie czym jest liczba, Jimmy? - zapytał August. - W jaki sposób można odróżnić jedną liczbę dwa od drugiej?

"To jest tak jak z tobą", chciał odpowiedzieć Jimmy. Abstrakcja o fizycznej konstrukcji, która zachowuje się jak istota żywa i świadoma samej siebie. "Źle go wychowywaliśmy", pomyślał i uzmysłowił sobie, do czego może to teraz doprowadzić. Spojrzał w duże, smutne oczy Miry i zrozumiał, że nie wolno mu teraz ryzykować stwierdzenia, że Augusta trzeba wykasować. Mira sama musi to zrozumieć, a on powinien powoli naprowadzić ją na właściwy tor myślenia. W końcu była ważniejsza niż jakakolwiek SI i bez względu na to, co do niej teraz czuł, przede wszystkim liczyło się jej zdrowie. Pocieszał się tym, że nie była chyba tak bardzo uzależniona od Augusta, jak myślał.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu na sofie. Nagle August zapytał:

- Dlaczego już nie chcesz się z nią pieprzyć, Jimmy?

Mira popatrzyła na niego skonsternowana.

- Czy to dlatego, że potrzebujesz nowej cipki? - naciskał August. Na olbrzymim trójwymiarowym ekranie pojawił się płonący kominek. Na jego tle kobieta i mężczyzna zwijali się w miłosnych konwulsjach.

- Nie! - krzyknęła Mira, jakby zobaczyła samą siebie.

Jednak miłosny rytm, w którym poruszali się ekranowi kochankowie, był hipnotyzujący. Jimmy poczuł, że dla przyciągnięcia ich uwagi August robi coś więcej, poza wyświetlaniem sceny miłosnej. Nagle nadzy kochankowie zaczęli się zmieniać. Jimmy zobaczył siebie z Mirą, a potem z inną kobietą, jeszcze później ujrzał Mirę w objęciach obcego mężczyzny, aż wreszcie Mira stała się kolejną kobietą. Zmiany były coraz szybsze, aż w końcu obraz rozmazał się, rozedrgał, jakby za chwilę miał eksplodować w jakimś monstrualnym orgazmie, któremu będzie towarzyszyć nieludzkie wyście i spazmatyczne drgawki.

- Przestań! - krzyknęła znowu Mira, ale nie odwróciła wzroku od ekranu.

Jimmy zmusił się, żeby to zrobić, choć kosztowało go to sporo wysiłku. Objął mocno Mirę i przycisnął jej twarz do swojego ramienia. Kiedy znowu odwrócił głowę, ekran był pusty.

- Czy połączenie waszych ośrodków przyjemności już was nie cieszy? - zapytał August. - Macie jakąś usterkę?

- Nie, nie jesteśmy uszkodzeni - odpowiedział Jimmy, uwalniając Mirę z objęć. - Po prostu ostatnio zdecydowaliśmy, że nie będziemy się już widywać.

Mira spojrzała na niego.

- Jak on może tak mówić? Wychowywałam go od chwili, gdy był jedynie pustą, nie zapisaną kartą...

- Całym światem. - Jimmy znowu przyciągnął ją bliżej. - Pamiętaj, do czego jest podłączony. Trzymał Mirę w ramionach, dopóki sama się z nich nie uwolniła.

- Nie musiałeś mu wyjaśniać, co zaszło między nami - powiedziała oskarżycielskim tonem. Utkwiła w nim spojrzenie wielkich brązowych oczu. - Chciałabym z tobą zrobić chociaż część tego, co widzieliśmy - dodała. Roześmiała się gwałtownie, a potem zaczęła płakać.

- Czym się stanę, kiedy dorosnę i zacznę żyć samodzielnie? - zapytał August.

Jimmy spojrział na Mirę. Przestała płakać i wpatrywała się w niego z wyrazem grozy na twarzy. Zupełnie jakby myślała, że sprowokował Augusta do zadania tego pytania.

- Kiedy w końcu wydostanę się.. z tego miejsca? - dociekał August.

Jimmy zrozumiał, że teraz już musi jej powiedzieć. Nigdy nie będzie na to odpowiedniej chwili.

- Musimy go wyczyścić - wydusił z siebie.

Na jej twarzy pojawiło się przerażenie, które szybko zmieniło się w głęboki cień choroby. Mira znowu rozpadała się w środku. Jimmy poczuł się bardzo niewyraźnie.

- Wezwę kogoś - powiedział, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że może być już za późno. Palce Miry zacisnęły się wokół jego nadgarstka. Zdumiała go siła tego uścisku.

- Nie!

- Nie możemy już nic więcej zrobić - tłumaczył. - Jego części są stare, a oprogramowanie pełne śmieci i błędów. Coś się w nim popsuło i może być już tylko gorzej. - "Z tobą też", dodał w myślach.

- Może on tylko się bawi...

- Oddamy go do przeglądu, żeby się upewnić.

- Nie możemy po prostu zostawić go w spokoju? - Wciąż miażdżyła w uścisku jego nadgarstek. - Moglibyśmy go wyciszyć, wyłączyć wizję, odciąć przewody doprowadzające.. Zamilkła na kilka minut, a potem z westchnieniem puściła jego rękę.

- Masz rację. To byłoby okrutne. - Odwróciła od niego wzrok. - Dlaczego to się musiało zdarzyć? - rzuciła w stronę odległego narożnika pokoju.

- Nie wiem - odparł Jimmy z poczuciem winy. - Może wie zbyt dużo i wyciąga niewłaściwe wnioski. Podobnie jak człowiek.

- Tak myślisz? - spytała sennie. Zupełnie jakby coś knuła w tajemnicy.

August milczał złowieszczo.

Ale co takiego mógł zrobić? Nie miał żadnych możliwości działania. Mógł wpływać na uczucia swoich właścicieli jedynie w takim stopniu, w jakim oni na to pozwalali. Mira zgadzała się na to zbyt często. Jimmy zdał sobie sprawę, że on pozwalał jej na to samo w stosunku do siebie.

- Zaczekajmy na opinię serwisanta - zaproponował.

Rozsiadła się na sofie pozornie odprężona. Jimmy wiedział doskonale, że Mira pokłada zbyt wielkie nadzieje w jego słowach.

- Rada dla młodych kobiet - odezwał się nagle August. - Nigdy nie wchodźcie same do pokoju mężczyzny. Bez względu na rok, dzień, godzinę czy minutę.

Jimmy poczuł, że Mira drży.

- Nie może to trwać latami, dniami, godzinami, a nawet minutami - kontynuował August. - Jednakże jeśli zajmie to tylko sekundę lub mniej, może wam ująć na sucho.

- Och, Auguste! - Mira wybuchnęła płaczem.

- Niedobrze z tobą - skomentował August.

"Oszalał", pomyślał Jimmy. Nawet Mira to widziała. Teraz straci ich oboje.

Technik inżynier - krzepki mężczyzna, który przedstawił się jako Filip Arbogast - przybył z dwiema walizkami sprzętu diagnostycznego. Położył je na stoliku do kawy i usiadł między Mirą i Jimmym. Oboje wycofali się na przeciwne krańce sofy, Arbogast zaś dostroił się do częstotliwości Augusta. W wieko jednej z walizek był wbudowany mały monitor, lecz ekran pozostawał pusty.

- Chowa się przede mną - powiedział Arbogast po rozpoczęciu diagnostyki.

- Auguste, pokaż się! - krzyknęła Mira. - Twój stan się nie poprawi, jeśli tego nie zrobisz. Jednak August nie dawał znaku życia.

- On wariuje - orzekł Arbogast po pięciu minutach, a Jimmy z trudem opanował nagły impuls, żeby uderzyć inżyniera za swobodny i pozbawiony emocji ton jego wypowiedzi.

- Czy to jakiś rodzaj wirusa? - zapytała żałośnie Mira.

- Myślałem, że wirtualne szczepionki są wystarczająco skuteczne - włączył się Jimmy.

- Bo są. - Arbogast wpatrywał się w odczyty. - Nie o to chodzi.

Zapadła długa cisza. Inżynier zajmował się swoimi przyrządami, jak gdyby był tutaj zupełnie sam.

- Więc w czym tkwi problem? - zapytał w końcu Jimmy.

Arbogast rozsiadł się wygodnie nad walizkami i spojrzał najpierw na Mirę, a potem na Jimmy'ego.

- Cóż, oboje wyglądacie na miłych i inteligentnych ludzi, dlatego będę z wami szczerzy. Problem w tym, że ta generacja SI to... no, ludzie. Z kwantowym rdzeniem tego tutaj jest wszystko w porządku. Ostatnio widziałem sporo takich przypadków.

- W porządku?! - zareagowała gwałtownie Mira. - Potrzebujemy pomocy. Powinien pan odtworzyć to, co wygadywał August.

- Co pan widział? Niech pan wyjaśni, o co chodzi z tymi przypadkami - zażądał Jimmy.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego. Na Mirę nie spojrzał ani razu.

- Posłuchajcie oboje. Problem polega na tym, że August jest., elastyczny, zupełnie jak człowiek. Gdybym odblokował mu głos..

- Zamknął mu usta? - zdziwił się Jimmy.

- Wyciszanie to standardowa procedura - wyjaśnił Arbogast. - Chcecie, żebym go włączył?

- Nie! Nie! - Mira zasłoniła twarz dłońmi.

Jimmy wiedział, że przestraszyła się, iż Arbogast usłyszy te wszystkie straszne rzeczy, które wygadywał August.

- Zatem co pan sugeruje? - zapytał spokojnie.

- Cóż... - Arbogast na chwilę zamilkł. - Pomyślcie o tych wszystkich danych. Jest ich więcej, niż mógłby przyswoić dojrzały mózg człowieka. Cała wiedza, historia, niesamowite fakty, wszystko zapisywane razem. Chaos. Dziwne interakcje. Nieuporządkowany ludzki zbiór danych to niezły ewolucyjny kompot. A na dodatek tabula rasa, nieskazitelnie czysta karta, już nie jest tym samym, co kiedyś. Ludzie wkładają do SI wszelkie możliwe urządzonek wspomagające.

- Czy z tym zawsze są problemy? - zapytała Mira.

- Nie. - Inżynier uśmiechnął się. - Ale ten tutaj zaczął analizować wszystko, co wzbudza jego zainteresowanie, i po prostu się zapętlił. Ma coraz więcej pracy do wykonania, pobiera coraz więcej energii, aż w końcu padnie. Jest połączony z całym światem. Właściwie w środku jest całym światem, podobnie jak wy czy ja.

- Co możemy zrobić w tej sytuacji? - zadając to pytanie Jimmy pomyślał, że facet zaraz sprzeda mu jakiś piracki program za irracjonalnie wysoką cenę.

Arbogast wzruszył ramionami.

- Możecie go skasować. To zależy od was. Albo...

- Albo co?! - zezłościła się Mira.

- Co pan by zrobił? - dorzucił Jimmy. Obawiał się całkowitego wyczerpania psychicznego Miry. Wciąż myślał, że za chwilę usłyszy wzmiankę o dużej sumie pieniędzy.

- Popracujcie nad nim - poradził Arbogast. - Zajmijcie się jego wychowaniem jeszcze przez jakiś czas. Podyskujcie z nim. Zdobądźcie parę dobrych rad, a potem dajcie mu kilka wskazówek. Pomóżcie mu.

"Podyskujcie z nim?" Jimmy czuł, że w umyśle Miry panuje straszliwy zamęt.

- Co?! - krzyknęła. - Co pan ma na myśli?! Wychoywaliśmy go według przepisu!

- Zawsze uważałem, że podręczniki tylko wprowadzają zamieszanie. - Arbogast znowu się uśmiechnął.

- A więc pańskim zdaniem, to nasza wina - stwierdziła Mira wpatrując się w Jimmy'ego.

- Niezupełnie - zaproponował inżynier. - Powiedziałem wam, co się stało. Teraz musicie z nim dużo rozmawiać. Pomóżcie mu lepiej zrozumieć, czym jest i skąd się wziął. Możecie mu wpoić pewne wartości, a on dzięki nim nauczy się odrzucać jakąś część, do których ma ciągły dostęp. On dysponuje większą wiedzą niż jakakolwiek istota ludzka, ale nie wie, co z nią zrobić, ani nawet jak ma o niej myśleć. On może e...

- Co może?! - Mira zamknęła oczy. - Co może, panie Arbogast?

- Może mieć do was pretensje o to, że nie nauczyliście go, jak uniknąć tego zamieszania.

- Czy mógłby nam pan pomóc? - spytał łagodnie Jimmy. - To znaczy, czy pańska rada zadziała?

Arbogast rozłożył ręce.

- Kto wie? To może trochę potrwać, ale rezultat pewnie się opłaci. Zyskacie jedyne w swoim rodzaju osobistego opiekuna, który będzie o was dbał przez całe życie.

"Szczęśliwego niewolnika", pomyślał Jimmy.

- Czy pan już się z czymś takim spotkał? - Mira pochyliła się. W jej głosie było słycać nadzieję.

- Tak, a ostatnio zdarza się to coraz częściej.

- Jak często?

- Dziesiątki przypadków. Będzie was to kosztowało sporo wysiłku i czasu. Może to zająć dziesięć lat., pięć, jeśli będziecie mieli szczęście. Wiecie, po jakimś czasie one zaczynają się uczyć same. Nawet same podsuwają pomysły przeróbek wstecznych.

"Jak z dzieckiem, pomyślał Jimmy. Tyle że trzeba to zrobić bezbłędnie".

- Uważa pan, że powinniśmy spróbować? - zapytała Mira.

Arbogast skrzywił się.

- Jeżeli jesteście odpowiednimi ludźmi..

- A jeżeli nie?

- W takim przypadku wyczyściłbym go i zaczął od początku, tym razem pamiętając, żeby nie powtórzyć wszystkich błędów. - Zamilkł na chwilę, a potem przyjrzał im się uważnie... -

Zresztą, nie wiem... Chyba nie jesteście odpowiednimi osobami... Nie macie czasu, a ta sprawa będzie go od was wymagać w nadmiarze. A tak w ogóle, czym się zajmujecie?

- Oboje pracujemy dla Tchotchkes Unlimited - odpowiedziała Mira. - Projektujemy ozdoby domowe.

- Ach tak... Rozumiem.

Chociaż nie powiedział "Och, macie na myśli różne bibeloty", Jimmy poczuł się urażony, ale nie okazał tego. Prawdopodobnie w sprawie Augusta inżynier miał całkowitą rację.

- Powiedział pan, że e spotyka się z tym dość często.

Arbogast pokiwał głową, Jimmy zaś spostrzegł, że Mira wpatruje się w nich obu z bezgranicznym zainteresowaniem.

- Tak, coraz częściej - potwierdził inżynier. - Cóż, stopniowo ludzie zaczną przerabiać siebie poprzez SI. One pomogą nam, a my pomożemy im.. aż wreszcie nikt nie będzie potrafił nas rozróżnić.

Jimmy słyszał o tym już wcześniej. Był jednak podejrzliwy w stosunku do ludzi, którzy głosili nadejście nowej ery.

- Powiem wam coś - ciągnął Arbogast. - To oczywiste, że Sztuczna Inteligencja stanowi wyższą formę ewolucyjną. Być może naszym obowiązkiem jest pomóc tym istotom. - Uśmiechnął się i popatrzył na Mirę, jak gdyby była Ewą nowego świata. - Ale one są tylko dziećmi i ktoś musi je wychować. Smutne w tym wszystkim jest to, że nasze wspomnienia dotyczące rodzicielstwa nie są najlepsze. Większość naprawdę inteligentnych ludzi musi samodzielnie pozbywać

się swoich wad i w którymś momencie zacząć wychowywać się samodzielnie.

Jimmy skrzywił się.

- A jeśli one nas przewyższą w rozwoju, czy będą się oglądały wstecz?

- Kto wie? Praktycznie staną się nie do odróżnienia od nas. Nikt nie będzie wspominał z nostalgią naszych zwykłych mózgów zbudowanych ze stu miliardów komórek nerwowych, mając moc przerobową stu trylionów.

- Więc po prostu zostaniemy usunięci?

- Zostaniemy wcieleni - zaprotestował Arbogast. - Zaszeregowani. Będziemy wciąż obecni., przynajmniej ta dobra część nas.

Jimmy miał wrażenie, że inżynier chciał powiedzieć, iż w ludziach nie ma zbyt wielu dobrych rzeczy, ale powstrzymał się od tego w obecności takich jak oni prostaczków.

- Czy jesteśmy dziwni, ponieważ nie wyszło nam z Augustem?! - spytała Mira, a Jimmy'ego znów przestraszył wysoki ton jej głosu.

- Nie - zaprzeczył Arbogast. - Jak już mówiłem, często się z tym spotykam. Mógłbym wam opowiedzieć o ludziach, którzy ciągle usprawniają sztuczne mózgi swoich pupilków lub składają zamówienia na biowzmacniane kotki, szczeniaki, jaszczurki, myszy, szczury..

- Nie! - przerwała Mira patrząc na Jimmy'ego. - Nie teraz!

- Niech pan przestanie - powiedział. - Proszę dać jej chwilę spokoju.

August krążył wewnątrz małego monitora Arbogasta. Wymachiwał rękami i krzyczał bezgłośnie - szalony cherubin, usiłujący się porozumieć mimo braku fonii. Podszedł bliżej do ekranu i zaczął walić weń małymi piąstkami, jakby ten był ze szkła. Przez chwilę zdawało się, że w końcu rozbije szybę. Wielkie niebieskie oczy Augusta wpatrywały się w nich z wyrzutem. Jimmy spojrzał na Mirę - zaskoczył go jej

spokój. Wciąż wspinała się na emocjonalną górę i mogła z niej spaść w każdej chwili. Kiedy Jimmy zajrzał znowu do walizki Arbogasta, mały wizerunek Augusta już zniknął. Mira wzięła a głęboki wdech i wypuściła powietrze. Jimmy podniósł się i wyszedł z pokoju. Nagle zrozumiał, że dla Miry to już koniec. Zastanawiał się tylko, czy on kiedykolwiek będzie potrafił skończyć z nią. Teraz, kiedy uwolniła się od Augusta, zdał sobie sprawę, że wciąż jej pragnie.

"Nigdy specjalnie nie zależało mi na tym małym gnojku" pomyślał.

- Właściwie to przecież tylko grupka elektronów - usłyszał. Żal po stracie był tak wyraźny w głosie Miry, że poczuł, jak w jego żołądku otwiera się bezdenne dziura.

- Tak - potwierdził Arbogast. - Zbiór elektronicznych wzorów, podobnie jak my jesteśmy garścią związków chemicznych. To nieistotne. Ważne jest, w jaki sposób je organizujesz - na tym polega różnica.

- Co pan sugeruje? - zapytała Mira wrogo, lecz jednak z zaciekawieniem.

- Pani poczucie straty jest najzupełniej normalne. Nikt i nic nie rodzi się osobą. Istota, która przychodzi na świat, jest czymś, co dopiero może stać się człowiekiem. Ale musi jakoś do tego dojść.

W cichym, spokojnym zakątku kuchni Jimmy czekał na odpowiedź Miry, która jednak nie nadeszła.

- Augustowi się nie udało i to uczyniło go bardzo nieszczęśliwym - kontynuował Arbogast. - Niech pani sobie o tym przypomina tak często, jak to tylko możliwe. Pomoże to pani pogodzić się z myślą, że już go nie ma, i zrozumieć, że dobrze się stało.

Jimmy wrócił do salonu i usiadł obok Miry. Była spokojna. Czuł, że jej nowy stan emocjonalny może być autentyczny.

- Nie wracajcie już do tego. - Arbogast rzucił spojrzenie w ich kierunku. Klęczał w niewygodnej pozycji po

drugiej stronie stolika do kawy i manipulował narzędziami z boku walizki. Wreszcie wyciągnął coś, co przypominało czarny ołówek.

- Co to jest? - spytała Mira.

- August Numer Jeden. Jest tutaj cały, na wypadek, gdybyście kiedyś chcieli jednak spróbować z nim jeszcze raz.

- Co?! - Mira zasłoniła usta dłońmi.

Arbogast położył "ołówek" na stoliku pomiędzy walizkami. Mira wpatrywała się w czarny przedmiot. Wydawała zdławione dźwięki, próbując opanować targające nią emocje.

- Co teraz? - Jimmy poczuł, że dziura w jego żołądku zmienia się w czarną otchłań. Reszta jego jestestwa stała zawieszona nad tą przepaścią, w każdej chwili gotowa dać się pochłonąć pustce.

Arbogast wstał, okrążył stolik i usiadł obok niego. Jimmy chwycił dłoń Miry. Ten gest chyba ją uspokoił.

- Teraz proszę patrzeć - powiedział Arbogast.

Rozbłysnął wielki trójwymiarowy ekran i zobaczyli szeroko uśmiechniętego Augusta Numer Dwa. Był szczęśliwy, czysty i nieświadomiony. Mogli go zacząć wychowywać od nowa. Miał nieskazitelnie białą cerę i jasne loczki opadające na czoło, a jego bystre błękitne oczy skrzyły się filuternie. Arbogast zamroził wizerunek Augusta w najbardziej pociągającej postaci. "Świeżutki", pomyślał Jimmy i poczuł, że budzi się w nim coś nowego.

- Zaczynjcie od teraz. - Arbogast pozamykał walizki.

Jimmy miał wrażenie, że mężczyzna coś im zabiera, mimo że żaden przedmiot, który był ich własnością, nie miał prawa opuścić tego mieszkania. Arbogast chwycił neseserki i ruszył w kierunku wyjścia. Jimmy poczuł, że Mira zaciska palce dłoni, którą trzymał.

- Może trafiło się wam coś specjalnego - odezwał się nagle inżynier. - Oczywiście, on nie pamięta momentu swojej śmierci. Nie ma także większej pojemności niż August

Numer Jeden. - Roześmiał się. - Wiecie, on wygląda jak amerek!

Drzwi zamknęły się za technikiem.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Mirę. Otchłań w jego wnętrzu zaczęła się zasklepiać.

Mira skinęła głową. Uwolniła dłoń z ręki Jimmy'ego, chwyciła czarny "ołówkę" i przycisnęła go do piersi.

- Co myślisz o Arbogaście? - zapytała wesoło.

- Jest w porządku. - Jimmy nie wspomniał, że według niego inżynier był trochę stuknięty. - Dobrze się czujesz?

Jeszcze raz skinęła głową, wciąż ściskając pozostałość po Augustynie.

- Nowiutki - szepnęła.

Jimmy wiedział, że tym razem postanowiła przeprowadzić wszystko lepiej niż poprzednim razem. Może to nie był taki zły pomysł?

- Kiedy już będzie wystarczająco duży, załatwimy mu sztuczne ciało i zorganizujemy zabawę poza domem. - Uśmiechnęła się. - Może na tym polegał problem? August nie wychodził wystarczająco często, nie sądzisz?

Jimmy milczał odwrócony do niej tyłem i myślał o tym, że w końcu August wyrwie się na wolność. To też nie byłoby takie złe rozwiązanie. Zaraz potem wyobraził sobie Augusta w protetycznym ciele - delikatnym i aż proszącym się o przytulanie - ukształtowanym z markowych materiałów, tak aby do złudzenia przypominało trójwymiarową wizualizację, która krążyła po domu. Poczuł, że dłoń Miry wślizguje się w jego dłoń, ale nie mógł na nią spojrzeć. Czuł jej ciepło. Mira żyła i prosiła go, aby z nią został.

- Czuję się teraz o wiele lepiej, kochanie - powiedziała.

Kiedy w końcu spojrział na nią, zobaczył, że jest spokojna i promienna. Wiedział, że nie znajdzie w sobie odwagi, aby ściągnąć ją z tego szczytu, na który właśnie się wspierała.

Stała tam, patrząc śmiało na świat. Jej twarz była obliczem niewzruszonej Matki.

August spojrział na nich promiennie, ale Jimmy poczuł chłód. Zupełnie jakby chłopiec pytał: "Nie zabijecie mnie tym razem, prawda?" Tylko że nie odezwał się żaden głos, a August nie był chłopcem. Jego uśmiechnięta twarz stanowiła maskę okrywającą coś, co żyło w labiryncie i jak dotychczas nie wiedziało o sobie zbyt wiele.

- A przy okazji, kto to jest amorek? - spytała Mira.

Jimmy, przerażony, że August znowu odbierze mu Mirę, wciąż trzymał jej dłoń. Miał wielką nadzieję, że w końcu chłopak ucieknie z domu.

Przełożyła Joanna Grabarek

Generał Jaruzelski w zoo

(General Jaruzelski at Zoo)

Nawet flądra nie jest bezstronna.

STANISŁAW JERZY LEC

Szympanś Maciek spostrzegł generała Jaruzelskiego, który szedł wolno żwirową ścieżką biegnącą obok jego klatki. Generałowi towarzyszyło dwóch mężczyzn. Jeden z nich rozglądał się nerwowo na boki, tak jakby czegoś szukał; drugim był dyrektor ogrodu zoologicznego.

Maciek starał się nie pokazać po sobie, jak bardzo jest głodny, wierząc, że za właściwe zachowanie goście dadzą mu banana.

Podskoczył.

Generał nie zwrócił na niego uwagi.

Zrobił fikołka do tyłu.

Generał nadal go ignorował. Wyglądało tak, jakby ukrywał się za ciemnymi okularami.

Maciek chwycił za kraty i potrząsnął nimi.

Generał przystanął i uśmiechnął się.

To było to! Maciek był pewien, że banany są coraz bliżej i skurcze żołądka wkrótce ustaną. Począł trząść kratami z całym sił, aż rozboleły go ramiona.

Dyrektor zaczął rozmawiać z generałem.

Oczy Maćka zwilgotniały z bólu wywołanego głodem. Położył się z ręką na brzuchu. Od dawna nie było bananów i dzisiaj ich też miało nie być.

- Ostatnio niełatwo nam się żyje, panie generale - powiedział łagodnie dyrektor. - Dlatego cieszę się, że zdecydował się pan nas odwiedzić i przyjrzeć naszym problemom.

Generał uśmiechnął się, słysząc pełne dyplomacji słowa dyrektora. Prawda była jednak zupełnie inna. To nostalgia za dawnymi czasami sprowadziła go tutaj. Jeszcze jako chłopiec lubił przesiadywać w zoo.

- Ludzie radzą sobie nawet w najgorszych czasach - kontynuował młody dyrektor - lecz zwierzęta nie mogą przecież stać w długich kolejkach, zażywać witamin czy choćby, tak jak my, jeść czegokolwiek. Organizm szympansa potrzebuje specjalnego oleju znajdującego się w bananach. Kubańskie pomarańcze trochę pomogły, ale nie mogą go przecież zastąpić. Widzi pan, jak Maciek cierpi. Gdyby był człowiekiem, moglibyśmy go z łatwością nakarmić.

Generał zbliżył się do klatki. Wydawało mu się, że szympanś bacznie go obserwuje.

- Co się stało? - zaniepokoił się dyrektor.

Szympanś podniósł się i podszedł do krat.

Generała chwycił raptownie ból żołądka. Poczul nieprzepartą ochotę na banany. Nagle znalazł się wewnątrz klatki, z rękoma na prętach. W odbiciu swych własnych okularów dostrzegł niewyraźny pysk szympanśa z obnażonymi zębami...

Generał odskoczył gwałtownie od klatki, wprost w ramiona ochroniarza.

- Maciek bardzo cierpi - powtórzył dyrektor, podczas gdy Jaruzelski starał się przyjść do siebie.

Poszli dalej.

Cały czas starając się zapomnieć o przeżytych przed chwilą dziwnym doznaniu, generał zauważył, że ludzie byli zajęci karmieniem słoni - maślanymi herbatnikami, dro-

gimi i trudno dostępnymi. Ci ludzie musieli stać w bardzo długich kolejkach, tylko po, to by kupić ciastka dla słoń. "Dlaczego to złudzenie przytrafiło się właśnie mnie?", zastanawiał się generał. "Jestem chyba człowiekiem, który posiada sumienie", odpowiedział sam sobie. "Albo tracę zmysły".

- Nawet najmniejsza pańska przysługa pozwoliłaby ocalić niektóre zwierzęta - rzekł dyrektor.

- Przewiduje pan jakieś zgony? - generał poprawił okulary.

- Z pewnością.

Jaruzelski przypomniał sobie o spotkaniu z profesorami uniwersytetu. Wzbudzili w nim poczucie winy i smutku. Młody dyrektor uczynił to także, aczkolwiek subtelniej. W swym inkwizytorskim zaciętrzewieniu profesorowie nie potrafili zrozumieć, że Rosjanie najechaliby na ich ukochaną Polskę. Generał tłumaczył im, że wszystko było kwestią kamuflażu - należało sprawić, by Sowieci sądzili, że myślimy podobnie do nich, do czasu aż Polacy staliby się wolni w granicach swego kraju. Czujność zazdrosnego i groźnego niedźwiedzia musiała zostać uspijona. Czesi, Jugosłowianie i Węgrzy już nad tym pracowali.

- Bułgarzy przysłali nam trochę owoców dla zwierząt - powiedział dyrektor. - Nie poprosili nawet o nic w zamian, za co byliśmy im bardzo wdzięczni. Lecz, widzi pan, to muszą być właściwe owoce - banany dla szympanów, rodzynki i orzechy dla ptaków...

- Rodzynki i orzechy? - zdziwił się generał. Prośba brzmiała znajomo, miała taki sam ekstrawagancki wydźwięk. Dyrektor nieśmiało wzruszył ramionami.

- Ziarna, jakie otrzymujemy, są dla nich nieodpowiednie. Nasze ptaki muszą jeść specjalne nasiona. Inaczej dostają wysypki, tracą pióra i ubarwienie. Jak mam wykonywać swoją pracę, kiedy zmusza się mnie do ignorowania oczywistych potrzeb biologicznych i dietetycznych.

Generał skinął potakująco głową i poszli dalej, pilnowani przez ochroniarza.

Nawet polskie zwierzęta są wymagające, stwierdził Jaruzelski. Potrzebują egzotycznej karmy, by zachować narodowy charakter. Rosjanie będą się śmiali.

- Nie będę mógł im pomóc, jak już zaczną umierać - stwierdził smutno dyrektor.

"Proszę o banany łatwiej jest spełnić", pomyślał generał.

Jego własny ojciec zginął z rąk Rosjan. Czy ta osobista strata czyniła z niego wiarygodnego Polaka? - ta myśl ciągle powracała. Wszystko skończyłoby się z pewnością kolejną krwawą łaźnią, i to szybko. Co do tego nie miał wątpliwości. Co o tym mogli wiedzieć ci, którzy nigdy nie sprawowali żadnej odpowiedzialnej funkcji publicznej? I to ich stałe odwoływanie się do jego uczuć...

- Chciałbym zwrócić pana uwagę na fakt, że sytuacją w naszych ogrodach zoologicznych zaczęły poważnie interesować się zachodnie media. - Dyrektor przybrał bardziej natarczywy ton. - Z przykrością muszę zawiadomić, że byli tu amerykańscy dziennikarze z kamerą. Mieli oczywiście odpowiednie zezwolenie. Generał czuł przez chwilę podziw dla dyrektora. Facet wiedział, co powiedzieć, by być usłyszonym. Odpowiedzialny, sumienny młody człowiek, zupełnie inny od tych wszystkich skorumpowanych urzędników.

- Należy pan do partii? - spytał Jaruzelski.

Dyrektor uśmiechnął się.

- Niestety, nie. Jestem zoologiem, nie politykiem.

Nigdy nie należą, myślał generał z niesmakiem. Tak jak zwierzęta. Nie chcieli się zajmować polityką, chociaż żyli w określonej sytuacji politycznej. Bardziej dbali o swe kariery czy nawet zwierzęta niż o Polskę.

Ciastka były słodkie, ale za mało pożywne, by wzmocnić organizm słonia. Ludzie, którzy je przynosili, mieli miłe, współczujące twarze, ale wyglądało też na to, że znają innych

dwunogich, takich, którzy ukrywali żywność w pobliskich budynkach i chcieli, by słonie zginęły.

Słoń wiedział, że nadchodzi godzina śmierci i że będzie musiał uczynić to tutaj, bez prawa do prywatności, na oczach wszystkich.

Patrzyła na niego twarz. W rękach nie było ciastek. Oczy były dużymi ciemnymi łatami. Usta - zaciśnięte. Generał zastanawiał się, dlaczego właściwie jako dziecko tak bardzo lubił ogrody zoologiczne. Co takiego było w tych zwierzętach, że uczyniły szczęśliwym jego dzieciństwo? To, że można było uciec? To, że niebezpieczeństwo było opanowane? A teraz? Otaczają nas rozjuszony słonie. Jeden fałszywy ruch i zdepczą na śmierć. Wiele czasu musi upłynąć, zanim minie niebezpieczeństwo. Słonie są duże i mocne, będą długo umierać.

- Czy możemy liczyć na pańską pomoc, panie generale? - pytał tymczasem młody dyrektor.

"Nie mogę się ruszyć", pomyślał generał, czując nagłą ociężałość.

- Zrobię, co będę w stanie - zmusił się wreszcie do odpowiedzi.

Dyrektor uśmiechnął się z wdzięcznością, ujmująco, w przeciwieństwie do profesorów o kamiennych twarzach, którym generał odpowiedział podobnie. Nic z wyjątkiem, daremnego zresztą, stawienia oporu Sowiecom nie mogło ich usatysfakcjonować. Ani łzy, ani jego zrozumienie dla ich krytyki wymierzonej przeciwko partii. Uznali, aczkolwiek niechętnie, jego dobre intencje oraz osobistą uczciwość. Jednak w głębi serca nigdy by go nie poparli. Nigdy go nie pokochają; choć zrobił, co trzeba było zrobić, aby uniknąć przelewu krwi.

Uniwersytety również były swego rodzaju ogrodami zoologicznymi, w których starsze, mądrzejsze zwierzęta uczyły młodsze i mniej doświadczony, jak żyć i jak umierać. Polska znajdująca się poza radziecką orbitą nie była możliwa. Jednak od samych Polaków zależało, jak będą wyglądać sto-

sunki z niedźwiedziem. Czy będzie to układ pan i niewolnik, czy też partnerstwo. Stawienie czynnego oporu nie pozwoliłoby na wzajemny szacunek, a już na pewno przekreśliłoby przyjaźń. Stan wojenny pozwolił jednak utrzymać tę możliwość, pomimo iż zahamował pomoc z Zachodu.

- Dziękuję, że mnie pan wysłuchał - mówił dyrektor ogrodu zoologicznego - wiem, jak cenny jest pański czas. -- I powtórnie się uśmiechnął.

Wydawał się być ulepiony z dobrej gliny. Może chłopak ze wsi, wykształcony w mieście? Grzeczny, szczerzy. Nie awansuje.

- Zrobię dla was, co będę mógł - powiedział generał. -- Jednak część winy spoczywa na Amerykanach. Nie tylko nie jest to politycznie poprawne - to wręcz niehumanitarne.

Odwrócił się i podążając za ochroniarzem, opuścił park.

Maciek drżał w południowym upale. Burczało mu w brzuchu. Ból był dokuczliwy. Ktoś musiał być na niego zły. Czuł się zagubiony, słuchając postękiwania słoni. Ptaki milczały.

Znalazłszy się w swoim gabinecie, generał usiadł w fotelu i zasnął. Zwierzęta sprzeczały się z nim w dziwnym języku. Nie rozumiał dokładnie, ale wydawało mu się, że apelowały do niego o coś, drwiły, że - wreszcie - nalegały. Najsilniejsze zwierzęta - powiedział im - uniknęły niewoli. Tylko najsłabsze stały się więźniami. Przepęłniała go rozpacz i uczucie bezsensu. Ból żołądka, który odczuwał szympan, zżerał jego wnętrzości. Nie mógł uwolnić się od tego i obudzić.

Tak bardzo chciał zrobić coś, za co mógłby być kochany. Wolność dla Polski - to byłoby to. Miały za sobą wojsko. Rosjanie musieliby się pięć razy zastanowić, zanim zdecydowałyby się zaatakować. Dorównałby samemu Piłsudskiemu, wyprowadzając Sowietów z Polski.

Ale, niestety, taki wyczyn nie wchodził w grę. Dostawy dla wojska były ściśle kontrolowane. Na każdy szereg Pola-

ków przypadał szereg rosyjskich żołnierzy. Niezależność Polski mogłaby spowodować oderwanie się NRD od swojego pana, przyspieszając zjednoczenie Niemiec, a cała Europa Wschodnia powstałaby w fermentie nadziei.

Nic nie jest proste. Sprawiedliwość to naiwny i niepraktyczny koncept. Nawet Amerykanie tak naprawdę nie chcieli wolnej Polski, ponieważ ów stan napięcia politycznego z Sowietami mógłby jedynie przysłużyć się gospodarce ich imperium. Carthago delenda est!

Obudził się i o mało nie spadł z fotela, gdy zadzwonił telefon.

- Halo! - zawołał, przyciskając słuchawkę do ucha.
- Wojciech! Czy to ty? - spytał głos należący do radzieckiego wiceministra rolnictwa.

- Oczywiście. - Przecież ten człowiek dobrze wiedział, że nikt inny nie mógł odebrać na tej linii. - Co mógłbym dla ciebie zrobić?

- No cóż, znowu chodzi o szynkę. W tym miesiącu potrzeba nam więcej.

- Zrobię, co będę mógł.
- Wagon będzie czekał.

Skorumpowany łajdak, pomyślał Jaruzelski z goryczą, przypominając sobie słabość, jaką tamten czuł do pornograficznych kaset wideo. Gdyby był moim człowiekiem, dawno już bym go powiesił. Wprawdzie Andropow przymykał na niego oko, ale może Gorbaczow usunie tego pasożyta.

- To miło z twojej strony, Wojciechu. Będę o tym pamiętał.

- Nie ma o czym mówić.
- Jak mnie słuchy dobiegły, ciekawy miałeś tydzień.

Jaruzelski wstał i podszedł do okna ciągnąc za sobą ostrożnie długi kabel od telefonu. Ten sam minister zaoferował mu kiedyś model bezprzewodowy, jednak nie skorzystał z tej propozycji.

- Wojciech? Może mógłbym coś dla ciebie zrobić? Mam odpowiednie środki. To znaczy, jeśli to tylko należy do moich kompetencji. Obiecuje.

W dole Jaruzelski zobaczył idącego ulicą człowieka. Człowiek ten przypominał generałowi Maćka - sposobem, w jaki przemieszczał się pomiędzy budynkami. Ludzie mieli w sobie coś ze zwierząt tego czy innego gatunku; jedni w twarzy, inni w zachowaniu. Nawet ludzkie wynalazki, takie jak samochód czy autobus, wydawały się czasem podobne do zwierząt...

- Wojciech!

Generał Jaruzelski przełknął ślinę, odsuwając głowę od słuchawki. Ból, który dopadł go w ogrodzie zoologicznym, ciągle nie ustępował.

- Halo! Wojciech! - krzyczał do słuchawki Rosjanin. - Jesteś tam? Co takiego mógłbym ci załatwić? - W słuchawce rozległ się kaszel i mlaśnięcie - minister pociągnął sporego łyka.

- Panie ministrze - odezwał się głośno wybawiciel Polski, a w jego głosie pobrzmiwała nutka buntu - możecie nam przysłać banany?

- Banany?

- Tak, to dla zoo. Zwierzęta nam umierają. Brak karmy staje się tematem niezwykle drażliwym. Zrobili o tym ostatnio program na CBS.

- Nagrałeś?

- Nie. Dowiedziałem się o tym dopiero dziś rano. Poza tym nie mam magnetowidu.

- Ci Amerykanie są tacy sentymentalni, jeśli chodzi o zwierzęta! Czy nie proponowałem ci ostatnio zestawu Sony?

Generał milczał.

- Zobaczę, co się da zrobić - odezwał się Rosjanin.

- Dziękuję.

Kolaboracja i kompromis, pomyślał gorzko Jaruzelski, odwieszając słuchawkę i siadając powtórnie w fotelu. W jego uszach pobrzmiwał odgłos grzechotu krat. Przyszło mu na myśl, że znowu znalazł się tuż obok Maćka. Ból w żołądku palił niemiłosiernie. Generał rozejrzał się po gabinecie, do którego przedzierało się blade światło dnia i obrzucił spojrzeniem zamknięte na klucz drzwi, za którymi siedział uzbrojony żołnierz. Pokój był klatką. Było więc rzeczą całkiem normalną błagać o banany.

Przełożyli Katarzyna Rzepka i Jacek Matwiejczyk

Postówie

Pragnę poinformować Czytelników, że zwierzęta w zoo naprawdę cierpiały tak, jak to opisałem; u schyłku lat osiemdziesiątych doniósł o tym "The New York Times". Opowiadanie powstało w mojej głowie w okamgnieniu, od pierwszego do ostatniego słowa, i wbiło mi prosto w serce ostry nóż satyry. Rzecz jasna, pełna ocena roli, jaką w historii odegrał prawdziwy generał Jaruzelski, to zadanie dla historyków, wydaje mi się jednak, iż w moim opowiadaniu zdołałem odkryć pewną prawdę. Otóż mam wrażenie, że Polacy, choć z dużą dozą krytycyzmu, ale jednak już mu wybaczyli - cała reszta bierze się z mojej całkowitej ignorancji. Bardzo przypadł mi do gustu osobisty dramat zawarty w przeprosinach generała złożonych na początku lat dziewięćdziesiątych, szczególnie w świetle oskarżeń o to, iż przez cały czas doskonale wiedział, że Sowieci nie wkroczą do Polski, dzięki czemu mógł czynić wszystko, co chciał, by umocnić swoją władzę. Mimo to, jak powiedział Warren W. Wagar, amerykański historyk i zarazem mój przyjaciel: "Przeprosiny Jaruzelskiego to i tak znacznie więcej niż możemy oczekiwać od Castro". O nim także napisałem dość dziwne opowiadanie zatytułowane "Spacerowałem z Fidelem".

Ogromnie się cieszę, że "Generał Jaruzelski w zoo" może wreszcie ukazać się w Polsce.

George Zebrowski

Potrzask marzeń

(The Idea Trap)

Od strony miasta dryfował rozproszony front nocnych pomysłów. Cięższe gmatwaniny przywiało już wczoraj rano; przesuwwały się tak nisko, że wpadały na domy w wiosce. Jednak te na pół umarłe pojęcia były zbyt blade, by mogły stanowić jakiś problem, nawet gdyby sunęły jeszcze niżej.

Oparłem się o pień drzewa i przyglądałem się niedźwiedziej sylwetce Brunona, który sprawdzał załogi na polanie. Sieci do porannych łowów były gotowe, ale Bruno zawsze wolał sprawdzić wszystko dwa razy.

- Mieście oczy szeroko otwarte! - zakrzyknął, po czym skierował wzrok tam, gdzie, jak się spodziewał, stałem ja. - Feliksie! Przestań marzyć i ruszaj na swoje miejsce!

Wyobraziłem sobie, jak kopuła ochronna nad miastem zniekształca wschód słońca. Ujrzałem odpoczynek marzycieli. Dla nich nie kończy się ekstaza, nie kończy się energia, z której tworzą; niepotrzebna im świadomość, że inni muszą zastawiać pułapki, bo żyją z ich tworów. To bez znaczenia - powiedziała by Bruno - żyjemy z tego, co im sprawia przyjemność, od kiedy pierwszy raz zaświeciło słońce. Równowaga to szczęście. Zastanawiałem się, jak do tego doszło. Czy kiedyś było inaczej?

- Ruszaj się, Feliksie!

Słońce uwolniło się spomiędzy drzew. Wstałem i przeszedłem do swojego kąta w okalającej polanę sieci. Czekałem, nie zwracając uwagi na krytyczne spojrzenia, jakimi ob-

rzucili mnie sąsiedzi, kiedy chwyciłem za podtrzymujący ją drąg.

Czułem w sobie drżenie na samą myśl o dalekim mieście.

- Zaczynamy! - krzyknął ochryple Bruno.

Wydawało mi się, że za chwilę ziemia pode mną pęknie i zatone w jej ciepłe. Lodowate napięcie wśród załóg przy sieciach wdarło się mroźną rzeką w mój wewnętrzny żar.

- Głowy w górę! - dodał Bruno.

Nadpływały tuż nad wierzchołkami drzew - małe, sękaty wyobrażenia, które być może przy porannej zadumie wydawały się marzycielom wyraźnie określone, lecz zdeformowały się, kiedy zmieniano je w bryłę materii. Przekonanie to krucha rzecz; przy kształtowaniu nie wolno zawahać się ani na moment.

- Przepuście je! - rozkazał Bruno.

Odepchnęliśmy hakami kilka bardziej sprężystych placzków. Te, które się rozbiły, odrzucaliśmy na bok, żeby później zakopać.

Złapałem jeden na hak i powlokłem na kupkę w pobliżu mego stanowiska. Podszedł Bruno i przykucnął, żeby mu się przyjrzeć.

- Do niczego - mruknął, ostukując młotkiem przysadzistą bryłę.

- Mimo to rozbij go - powiedziałem, jako że ciekawość zwyciężyła we mnie litość.

Bruno roztrzaskał czarną skorupę. Wnętrze było różowe i miękkie.

- Wygląda na jadalne - burknął. - Zabierzemy je. Jak myślisz, co to miało być?

Zebrowski George - Potrzask marzeń

Wzruszyłem ramionami, próbując ukryć swoje uczucia. To dziwne, że Bruno zapytał: zwykle łapacze nie zajmowali się zgadywaniem, co chciał stworzyć umysł marzyciela. Dla nich liczyła się tylko produkcja jadalnych wnętrz.

- No?

Najbardziej nieokreślone pomysły, pomimo bezużytecznych krzywizn i krystalicznie czystych kolorów, wydawały się czasem najklarowniejsze, lecz rzadko bywały jadalne. Pękate, solidne bryły białka zamknięte w ceramicznych skorupach - oto, czego potrzebowali łapacze. Wiedziałem jedno: marzyciele różnili się między sobą stopniem uzdolnienia.

Można było to dostrzec, jeśli miało się wyczucie stylu.

- Dlaczego pytasz akurat mnie? - odparłem w końcu, unikając jego wzroku.

Uśmiechnął się chytrze.

- Lepiej wracaj na swoje miejsce.

Kiedy się oddalił, przypomniałem sobie opowieści o monstrualnych wytworach, które nadciągały z miast podczas pierwszego stulecia Separacji. W lasach grasowały gigantyczne owady, przez oceany prześlizgiwały się lewiatany, połykając zarówno wieloryby, jak i okręty. Wśród marzycieli nie było żadnej dyscypliny.

Pewnego dnia skończyła się nienawiść, ustało pustoszenie i kaleczenie okolic, jako że marzyciele wyczerpali już tę nikczemniejszą stronę własnych osobowości. Tak przynajmniej twierdzą bajarze. Z miast wyłaniała się jeszcze groteska, lecz znacznie częściej marzyciele poszukiwali piękna i wzniosłości. Tak mi się przynajmniej wydawało. Gniew i nienawiść stały się teraz rzadkością.

Kiedy wróciłem na stanowisko, członkowie załóg śmiali się i żartowali.

- Stary cię ochrzanił? - zapytał Marot, odpychając hakiem jakiś nieduży pomysł, który uniósł się w górę i przeskoczył nad naszymi głowami.

Nie zwróciłem uwagi na pytającego. Żałowałem, że nie żyję w tych odległych czasach, kiedy każdy mógł pójść do miasta, żeby dowieść swych umiejętności. Dzisiaj nikt już nie wie, w jaki sposób można zostać wezwanym i czy w ogóle udaje się dostąpić tego zaszczytu. Niektórzy twierdzą, że ma-

rzyciele zdobyli nieśmiertelność i że już nie potrzebują nowych źródeł inspiracji. Inni mówią, że nigdy śmiertelni nie byli, od pierwszych chwil Separacji. Jedzenie dla nas nadchodzi nieprzerwanie, więc nieważne, jaka jest prawda. Jestem chyba jedynym, który miewa w ogóle wątpliwości, czy pragnie w życiu zmiany. Wkradły się we mnie symetrie, zwracając moją świadomość ku bolesnej czci dla piękna. Do snu kołysały mnie niepewne obietnice.

Po południu po niebie szybowały już w pełni rozwinięte fantazje. Ozdobne, wielkie projekty, ambitne powietrzne statki żeglujące ku czerwonym horyzontom świata.

Sunęły z determinacją, lecz mojej załodze udało się przechwycić jedną z nich, zaraz po posiłku. Był to lśniący dysk, kiełkujący szklistymi kulami przeszywanymi krwistymi prążkami. W środku, między grubymi soczewkami dysku, wiła się jakaś postać, jak gdyby walcząc z niewidzialnym przeciwnikiem. Moje wnętrze rozspiewało się podziwem, kiedy zdałem sobie sprawę, że rzecz, na którą patrzę, została ukształtowana w ludzkim umyśle.

Bruno uniósł młotek i roztrzaskał soczewki. Pająkowata postać wypadła z krzykiem, zerwała się na równe nogi i

Zebrowski George - Potrzask marzeń pognała przez polanę. Zapragnąłem gorąco, by udało jej się dotrzeć między drzewa. Wyobrażałem sobie, że w lesie uda jej się rozpocząć nowe życie. Lecz jak zwykle nagie ciało pod wpływem słońca zamieniło się w pył, a lekki wiatr uniósł ze sobą delikatne prochy.

Następny, podobny do poprzedniego wytwór wyskoczył wysoko w górę, potem opadł nagle, kosząc wierzchołki drzew.

Zagrażał wiosce. Słyszeliśmy, jak imitacja krzyczy między soczewkami, wywołując w kryształach dalekie, śpiewne alikwoty.

Potem znów złapał ją wiatr. Dysk nabrał wysokości i przeskoczył ponad jeziorem.

Powiewy wiatru chroniły miasteczko, lecz jednocześnie utrudniały łapanie. Tkwiliśmy przy sieciach aż do późnego popołudnia. Na niebie goniły się gigantyczne motyle, lecz jak zwykle za wysoko, by można było dosięgnąć je hakiem.

Wyglądały na reproduktory, a nie na świeżo wykreowane formy.

Druga i trzecia generacja zawsze okazywała większą witalność.

Kiedy tak czekaliśmy, wyobrażałem sobie uśpione w mieście kształty, jeszcze nie gotowe, by zanurzyć się w głębsze studnie życzeń. Całe niebo pokrywały wypełnione energią pętle złota, zieleni i oślepiającej żółci, lecz od dłuższego już czasu nie pojawiło się na nim nic konkretnego.

Bruno skrzywił się i rzucił mi rozgorączkowane spojrzenie.

- Co się z nimi dzieje? Nie wiedzą, że musimy jeść? - Patrzył na mnie, jakby spodziewał się, że coś wiem. Jesteś taki sam jak oni - mówiły jego oczy - więc powiedz nam, o co chodzi.

Późnym popołudniem pojawiły się żywe pomysły, często sczeplone ze sobą. Obserwowaliśmy je pilnie, ponieważ te właśnie były najbardziej pożywne. Jako najmocniejsze, zbliżały się na dużej wysokości. Lecz kiedy dwa lub trzy splotyły się ze sobą, opadały na tyle nisko, że można było złapać je na hak lub w sieci.

Pierwszą zdobyczą tego popołudnia była tytaniczna para ludzka, odziana w złoto i srebro. Wpadli prosto w sieć mojej załogi, a wszyscy zbiegli się, by oglądać ich słoniowe karesy.

Po tym jak ciała w końcu się uspokoiły, Bruno roztrząsał młotem obie czaszki, a włócznicy przebili ogromne serca.

Kiedy Bruno skończył, uchwyciłem jego spojrzenie, lecz nie znalazłem w nim śladu litości.

Głębokie pojęcia przyszybowwały wczesnym wieczorem, lecz wiele z nich było zawitych i poskręcanych w środku. Tylko kilka nadawało się do jedzenia. Niektóre były zupełnie puste, w środku niosły jedynie upiorne echa nieudanych marzeń. Kilka z nich opadło i przetoczyło się po trawie, zanim kolejne sprężyste odbicie nie wyrzuciło ich z powrotem w górę. Niektóre chwyciły się w sidła drzew, dostarczając rozrywki dzieciom, które wspinały się, by je poprzebijać.

Potem pomagały dorosłym zanieść zdobycz do wsi.

Przypomniało mi się, jak pierwszy raz wspiałem się na drzewo, by obejrzeć jeden ze srebrzystych balonów.

Długo wpatrywałem się wtedy we wszechświat malutkich słońc i żarzących się pajęczyn. I teraz jeszcze przyglądam się czasem bezwartościowym wytworom, lecz żadne z nich nie są tak piękne jak te, za którymi goniłem w dzieciństwie.

Krzyki dzieci ucichły, jako że załogi wróciły już do swych domów, pozostawiając mnie na brzegu niespokojnej ciszy.

Zebrowski George - Potrzask marzeń

- Idziesz, Feliksie? - krępa sylwetka Brunona pojawiła się na tle zachodu słońca. - June już się stęskniła za tobą.

Jesteś daleko nawet, kiedy siedzisz z nią w domu - powiedział mi ton jego głosu.

- Zaraz przyjdę.

Wpatrywałem się w niewidoczne miasto, na poły oczekując, że wzniesie się nad horyzont, kiedy zniknie słońce. Czuję w sobie jego siłę, którą trwoniłem na tęsknotę.

- Nie lubisz tego, prawda? - zapytał miękko Bruno. - Zawsze tak było. Nie jestem ślepy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Irytowała mnie ta jego okazjonalnie okazywana życzliwość.

- Może powinieneś o tym pogadać.

Nie odpowiedziałem.

- Wydaje mi się, że ciągle spodziewasz się od miasta czegoś więcej, ale co może ci dać? Żywi nas i to wszystko.

Milczałem, więc po chwili poszedł sobie.

Zwlekałem z odejściem, dopóki wzniosłe pojęcia nie wtopiły się w morze wieczoru. Nie było sensu chwytać tych stalowobłękitnych krzywizn i koziółkujących lusterek; te wytwory dążyły do gwiazd, jakby skierowano je ku samemu środkowi wszechrzeczy.

Usiadłem na skraju polany, opierając się o pień ulubionego drzewa i przez długi czas spoglądałem w niebo.

Nic nie spadało, a ja coraz bardziej nieruchomiałem, na zawsze wtopiony w krajobraz...

O północy niebo przecięły szalone pomysły. Wiele z nich było czystą groteską - bezkształtną masą pierwotnej materii, bryłą gazu i błota, nielogiczną konstrukcją, która nie mogła przetrwać dłużej. Nocne powietrze wypełniło się ozonem.

Szalone pomysły pojawiały się i niknęły.

Zapatrzyłem się w wypełniającą mnie ogromną pustkę.

- Feliksie! - zawołał do mnie przez las śpiewny głos June, narzucając tożsamość mojej pustce, zakładając mi jarzmo mego własnego imienia.

Wstałem niezgrabnie i powędrowałem ścieżką na spotkanie June. Nad wioską od strony jeziora wiała chłodna bryza.

Kroczyłem powoli, smakując noc, z radosnym drżeniem serca oczekując nowych wytworów, które przyżegną w porannym słońcu. Jakaś częśćka mnie żyła w mieście, a moje marzycielskie ja tam właśnie spędzało noc.

Czekaliśmy w chłodzie poranka. Nad lasem wiał lekki wiatr.

Na źdźbłach trawy drżała rosa. W moich nozdrzach świat był rześki, w oczach nowy i żywy w uszach.

- Gdzie one się podziały? - zapytał Bruno, spoglądając ku mnie. Jego głos brzmiał trochę niepewnie. - Co o tym sądzisz? - szepnął.

- Nie wiem.

Załogi kręciły się niespokojnie przy stanowiskach.

- Może zapomnieli się obudzić - krzyknął ktoś z drugiego końca polany. Nikt się nie roześmiał.

Czułem w środku ciszę miasta, coś przeszukiwało moje wnętrze.

Słońce wysliznęło się z płataniny drzew i zaczęło zbierać rosę z traw. Nad polaną uniosła się mgła, ale wkrótce rozplynęła się w pustym, błękitnym niebie.

Przytłaczała nas cisza. Wczesnym popołudniem załogi zebrały się przy moim krańcu polany. Zdecydowałem się przemówić.

- Jeżeli pole siłowe wokół miasta jest wyłączone -

Zebrowski George - Potrzask marzeń zacząłem nerwowo - to... - Zaskoczeni, przypatrywali mi się sceptycznie. - Nie rozumiecie? - dodałem.

Nie - odpowiedziały ich oczy, ale Bruno skinieniem głowy nakazał mi mówić dalej.

- To znaczy, że moglibyśmy wejść do miasta i zobaczyć, co się stało. - Z trudem przełknąłem ślinę. Cisza jak żarna mieliła moje wnętrze.

Indyo, najważniejszy z naszej wioski, splunął na ziemię.

- I co możemy zrobić? Co my wiemy? To ich robota, nie nasza.

- Moglibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej - tłumaczyłem, starając się, by mój głos dźwięczał pewnością siebie.

Indyo skrzywił się.

- No to idź sam - odpowiedział i poczułem się tak, jakby

to wszystko była moja wina. Indyo podniósł swój hak i ruszył w głąb lasu. Za nim poszła reszta jego załogi.

W południe połowa łapaczy wróciła do domów. Na twarzach reszty widziałem rosnący strach. Wiedziałem, że muszę coś zrobić.

Wieczorem zostaliśmy już tylko ja i Bruno. Dygocząc z zimna skryliśmy się w cieniu na skraju polany.

- Za miesiąc czy dwa - odezwał się Bruno - skończy nam się żywność.

- Musimy iść do miasta - upierałem się.

Prychnął.

- Nikt tam nigdy nie był.

- Z rana bylibyśmy już na miejscu - przekonywałem, a od tych słów zakręciło mi się w głowie z podniecenia.

Potrząsnął przecząco głową.

- Głupio będziemy wyglądać, jeśli jutro rano wszystko zacznie się od nowa, a nas tutaj nie będzie.

- Sam w to nie wierzysz. Wcale w to nie wierzysz.

- Naprawdę sądzisz, że powinniśmy tam pójść? - Nigdy przedtem nie traktował mnie tak poważnie.

- Tak.

- No dobrze, pójdziemy - rzekł, jakby nagle pojął jakąś wielką tajemnicę.

Kiedy wyruszaliśmy w drogę, wszedł księżyc. Wypełzył spomiędzy drzew po prawej stronie, jakby chciał lepiej nam się przyjrzeć, i stał nieruchomo, kiedy wydostaliśmy się na niewielką polankę. Jego jasną twarz zaczął przesłaniać brązowy kształt. Coś poruszyło się we mnie, kiedy śpiesznie przemierzaliśmy polanę. Ten czarny cień przy moim boku, gotów w każdej chwili rozpuścić się w gęstniejącym mroku, to był Bruno. Gwiazdziste niebo zajęły białe chmury. Zaciągało się coraz bardziej. W żołądku poczułem skurcz.

Przez krótki czas liście drzew zatrzymywały deszcz, lecz wkrótce wilgoć zaczęła przenikać przez tę zasłonę, spadając w dół wielkimi kroplami.

- Nic nie widzę! - krzyknął Bruno.

W górze przeleciała błyskawica, zamieniając go na chwilę w lodowy posąg. Wskazałem na przewrócone drzewo.

Kiedy wpełzliśmy do środka spróchniałego pnia, Bruno dyszał ciężko. Położył się, a ja przykucnąłem obok.

- Nie dojdziemy przed świtem - orzekł.
- Prześpijmy się - krzyknąłem, a ulewny deszcz przemieszał zapachy lasu.

Otworzyłem oczy i wsłuchałem się w ciszę. Za drzewami podnosił się biały świt. Leżałem nieruchomo i obserwowałem kłębiące się opary mgły.

Nagle usiadłem. Ścieżkę blokował jakiś ogromny pęcherz. W nocy miasto coś wysłało.

- Popatrz - odezwałem się, trącając Brunona łokciem.

Podniósł się na czworaki. Wypełzliśmy z pnia i podeszliśmy do przybyłej opuchlizny. Bruno wyjął nóż i nakłuł szarą, pomarszczoną skórę. Odkoczyliśmy do tyłu, bo pęcherz pękł i trysnął przejrzystą cieczą.

Zajrzeliśmy do środka. W wewnętrznych komórkach spały wielogłowe postacie ludzkie. Kilka twarzy przypominało twarze mieszkańców naszej wioski.

- Nie bardzo się nadają - mruknął Bruno, wciąż jeszcze zaspany.

- Chodźmy - powiedziałem, zastanawiając się w duchu, czy miasto wysłało w nocy prośbę o pomoc.

Kiedy znów podjęliśmy wędrówkę, świt za drzewami przybrał barwę żółtą.

Wyszliśmy z lasu. Miasto żeglowało po trawiastej równinie, migocząc w porannym słońcu.

- Nie ma pola siłowego - odezwałem się. Zauważyłem, że za pozbawionymi okien wieżami i błękitnymi kopułami krajobraz nie jest, jak przedtem, zniekształcony.

Szliśmy teraz po trawie. Bruno zerwał długie, zielone źdźbło i zaczął je żuć.

- Skąd wiesz, że jest jakieś wejście? - zapytał. - Nigdy tam nie byłeś.

- Przecież musi być - odparłem zniecierpliwiony. Nagle poczułem się tak, jakbym wracał do domu. Nie chciałem zwlekać.

Przyśpieszyliśmy kroku, lecz wieże nadal pozostawały niedosiężne, jakby miasto nie godziło się na nasze przybycie.

Minęliśmy niewielkie hałdy ziemi i płynące przy nich strumyki. Na koniec miasto dało za wygraną i przybliżyło się. Znowu zwolniliśmy.

Po kilku chwilach równina obniżyła się i ujrzeliśmy trzy tunele. Miasto było otwarte: czekało, by nas przyjąć. Bruno ostrożnie rozejrzał się dookoła, lecz nie przystanął.

Kiedy prowadziłem go ku środkowemu tunelowi, poczułem nagły przypływ nadziei. Nad naszymi głowami zabłyśły światła i wbiły się w ciemność, ukazując nam przejście z wypolerowanego, błękitnego metalu. Wchodziliśmy coraz głębiej. Tunel najpierw opadał, potem przez krótki czas wiódł w górę. Doszliśmy do jakiegoś nisko sklepionego pomieszczenia.

Otoczyły nas ciemne kolumny. Biegająca środkiem rampa prowadziła na następny poziom. Weszliśmy po pochylni w coś, co jak się wydawało, było światłem dnia.

W przestronnej pustce wyczuwałem istnienie oddalonych ścian. Po ciele przebiegł mi leciutki dreszcz.

- Ci z miasta lubią dziwne mieszkania - orzekł Bruno. - Gdzie oni się podziali?

Spodziewałem się, że zechce wracać, ale on tylko zachichotał cicho i ruszył po bezkresnej podłodze. Poszedłem za nim; w uszach dzwoniła mi cisza. Jakby przekazując coś niezmiernie ważnego. Już za chwilę zrozumieć, co do mnie mówi...

- Tam! - krzyknął Bruno.

Kiedy zbliżyliśmy się do ciemnoniebieskiej platformy, zeszytniałem. Zeszliśmy z rampy i zapatrzyliśmy się w czarną powierzchnię, na której spoczywało tysiące wąskich skrzyń. Serce zabiło mi gwałtownie, kiedy podszedłem do jednej z trumien i ujrzałem w środku nagą ludzką postać.

- Czy to są marzyciele? - dopytywał się Bruno.

W odpowiedzi zdołałem tylko skinąć głową. Po całym ciele przebiegało mi dziwne mrowienie. Bruno pozostał niewzruszony.

Obejrzelśmy kilka skrzyń. Marzyciele mieli zamknięte oczy, ręce przyciśnięte do boków, a dłonie zwinięte w pięść.

Wyglądało, jakby z głów wyrastały im delikatne włókienka, które przechodziły następnie przez przejrzyste wieka trumien i łącząc się w grube kable pędziły do góry, a później w błękitną dal.

Gdzieś nad nimi - pomyślałem z drżeniem serca - są komory kreacyjne. Coś poruszyło się we mnie, jakby chciało wykrzyczeć ostrzeżenie.

Szliśmy przejściem między pojemnikami. Zobaczyliśmy gruby słup. Gdy byliśmy bliżej, usłyszeliśmy pogwizdywanie wiatru w szybie windy.

- Wydaje mi się, że tędy dostaniemy się do góry - powiedziałem, wkładając rękę w otwór wejściowy i czując pęd powietrza. - Wchodź za mną.

- Feliksie, zaczekaj!

Zagarnął mnie ciepły powietrzny prąd i pomknąłem w górę przez błękitną mgłę.

- Feliksie! - wołał za mną Bruno, kiedy wychodziłem na zewnątrz. Jego głos dźwięczał przestraszonym.

- Chodź na górę!

Po chwili zobaczyłem go, unoszonego powietrzem. Kiedy wychodził z szybu, minę miał bardzo niepewną.

Rozejrzeliśmy się w otaczającym nas półmroku, a potem skierowaliśmy się ku czemuś, co wydało nam się wielkim słupem białego światła. Kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że to światło dnia, wpadające przez wielki, okrągły otwór.

- Świeże powietrze - westchnął z ulgą Bruno.

Poczułem na twarzy chłodny powiew i znów coś poruszyło się we mnie, jakby zaraz miało cisnąć mnie wprost w niebo...

- A to co? - zapytał Bruno, wskazując na otaczające nas wielkie cylindry.

- Podsadź mnie - powiedziałem, podchodząc do jednego z czarnych olbrzymów.

Bruno pochylił się i splótł dłonie. Postawiłem na nich stopę, odbiłem się i chwyciłem za brzeg cylindra. Powoli podciągnąłem się do krawędzi i zajrzałem do środka.

- Uważaj, bo wpadniesz - ostrzegł mnie Bruno.

Na dnie komory kreacyjnej dyszało niedokończone pojęcie - gigantyczny pęcherz zdeformowanych kształtów. Przez komorę przeleciał błysk światła, lecz mimo dostarczonej energii wytwór pozostał nieuksztaltowany.

Zeskoczywszy, wylądowałem obok Brunona.

- Nic z tego, co? - zapytał.

Skinąłem głową. Ogarnął mnie smutek.

- One nie formują się tak jak trzeba. Energia stale płynie, ale nic nie jest dokończone.

- No to co zrobimy? - zapytał, widząc moje przygnębienie. - Nie będzie jedzenia. - Głos mu zadrżał.

- Poszukamy mięsa - powiedziałem, myśląc o wytworach, które żyją podobno na swobodzie. Jeśli wierzyć pogłoskom, głęboko w lasach mogą żyć i rozmnażać się całkiem nowe gatunki zwierząt.

Zjechaliśmy w dół szybu i zaczęliśmy przeszukiwać skrzynie, lecz z każdej, którą otworzyliśmy, unosił się zapach rozkładu.

- Dlaczego poumierali? - zastanawiał się przygnębiony Bruno. - Przecież wszystko działa. Energii słonecznej jest pod dostatkiem.

- Aaaaaaaaaaaa!

Usłyszeliśmy okropny, pełen cierpienia krzyk. Obaj odwróciliśmy się gwałtownie i ujrzeliśmy nagą postać, która słaniając się, brnęła wzdłuż przejścia. Bruno pognął ku niej i złapał w ramiona ciężko dyszącą kobietę. Złożyliśmy ją na

podłódze. Kiedy Bruno uniósł jej głowę, spojrzało na mnie dwoje wielkich oczu.

- Co się dzieje? - zapytałem. - Powiedz nam.

Pomarszczone powieki zamrugały z wysiłkiem.

- Te, te, te - mówiły cienkie wargi. - Żyy, żyy, żyy, czcz... - Twarz wykrzywiła się, jakby usiłowała przybrać inny kształt.

Podniecony, nie odrywałem wzroku od jej oczu. Oto istota, która przez całe stulecia eksploatowała najgłębsze pokłady swego umysłu, nadając kształt ekstazie i żywiąc okolicę.

Wyobraziłem sobie szary mózg, który kryje się za tym spojrzeniem i który teraz, przerażony, zwrócił się przeciw sobie. Wydało mi się, że te oczy znają mnie, w sobie tylko wiadomy sposób.

Z gardła kobiety wydobywały się zduszone dźwięki.

Przestała oddychać, z utkwionych we mnie oczu zniknęło przenikliwe spojrzenie.

- Może ktoś jeszcze żyje - odezwał się z nadzieją Bruno, kiedy złożył na ziemi jej głowę i rozejrzał się dookoła. - Co ona chciała powiedzieć?

Nie mogłem odpowiedzieć. W uszach znów zadźwięczał mi ten natrętny szept. Daleki chór mruczał ostrzeżenia w nieznanym mi języku.

Szukaliśmy przez długie godziny, lecz wszyscy marzyciele byli martwi.

- Coś musiało ich zabić - Bruno trzymał się za nos, kiedy opuszczał wieko kolejnej skrzyni.

Wyczerpany przysiadłem. Stąd brały początek najśmielsze marzenia, krzepły i żeglowały po niebie; niektóre pewnie nawet opuściły nasz świat. A teraz ich twórcy rozkładali się.

- Ciekawe, jak się to wszystko zaczęło? - zagadnął Bruno, po raz pierwszy zastanawiając się nad własnym światem.

Wiedziałem, co mu powiedzieć.

- Na początku uwielbiali wymyślać różne rzeczy. W umyśle możesz stworzyć wszystko, a oni potrafili ubrać marzenia w realny kształt. Chyba nie wiedzieli, co ich spotka. A może wiedzieli, tylko nie miało to dla nich znaczenia. W każdym razie dzielili się swoim wnętrzem.

Bruno poskrobał się po zarośniętym policzku i spojrzał na mnie z uwagą.

- Może moglibyśmy przysłać tu kilku ludzi, żeby dla nas marzyli?

Zerknąłem na niego. Wydał mi się obcy.

- Może już czas zacząć żyć inaczej. Przecież nie zawsze tak było.

- Ale jeśli nie potrafimy?

Nad naszymi głowami przetoczyły się echem jakieś suche trzaski. Przysłuchiwaliśmy się, dopóki nie ucichły.

- To komory - wyjaśniłem. - Ciągłe jeszcze pracują.

- No to ktoś jeszcze musi żyć!

Potrząsnąłem przecząco głową.

- To tylko ostatnie przejawy aktywności martwych i obumierających mózgów, które wywołują przypadkowe efekty.

Ale pomysły już się nie rodzą. Sam widziałem.

- Jednak to wciąż pracuje - upierał się Bruno.

Serce zabiło mi szybciej. Choć starałem się powściągać wewnętrzny głód.

Kiedy doszliśmy do skraju lasu, obejrzeliśmy się, a wtedy zapadło między nami niespokojne milczenie. Na prawo od miasta, na horyzoncie spoczął zdeformowany, czerwony pęcherzyk słońca.

Nad wysokimi wieżami przeleciał błysk światła.

Brzt! Brzt! Brzt! - trzaskały ostre echa, kiedy komory trudziły się, by nadać kształt niedopracowanym materiałom.

Wśród błysków wzlatywały w górę brunatne bryły; z niszczących mózgów wyrzywały się przypadkowe wcielenia i pędziły wprost w szkarłatny zachód słońca. Kiedy przyglą-

dałem się znikającym w oddali wysiłkom umierających, walczyły we mnie strach i tęsknota. Pragnąłem osiągnąć tych poronionych tworców, nadać im właściwy kształt, lecz byłem bezsilny.

- Brzt!

- Brzt!

Na koniec pozostała tylko cisza i krwistoczerwone słońce.

- Chodźmy - rzekł Bruno.

Zawahałem się: miałem nadzieję ujrzeć jeszcze jeden błady błysk, ale i one ustały, kiedy Ziemia przydusiła słońce.

- Zostałeś tylko ty - powiedział Bruno.

Pośród mroku słysząc było trzaskanie ognia. Społeczność schwytała mnie w pułapkę swoich oczu. Spoglądając w ciemne zwierciadło jeziora, pomyślałem o głębokich lasach, w których mógłbym się ukryć.

- Wysyłałbyś dokładnie to, czego potrzebujemy - ciągnął Bruno. - Wtedy byłoby nam łatwiej zastawiać pułapki i nic nie groziłoby naszym domom. - Przerwał na chwilę. - Nasze życie zależy od tego, czy tam pójdziesz.

Potoczyłem spojrzeniem po oświetlonych płomieniami twarzach moich sąsiadów. I tak nie nadajesz się do niczego innego - mówiły.

Bruno wiedział przez cały czas. Jadalne emisje wymagały obecności kogoś, kto by je modelował. Coś złego przydarzyło się tym z miasta, czas więc wysłać im następców. Bruno bardzo sprytnie dał się namówić na wyprawę, żeby obserwować moje zachowanie i przekonać się, czy mam o tym jakieś pojęcie oraz by dać mi przedsmak tego, co mnie czeka.

Zaświtała mi myśl, że od dawna wiedział o moich pragnieniach. Złowił mnie na przynętę.

- Możesz zrobić coś dla siebie i dla reszty - dodał miękko; wyglądał na zakłopotanego.

Z trudem przełknąłem ślinę, próbując zapanować nad ogarniającym mnie gniewem. Bruno przyparł mnie do muru i to wcale mi się nie podobało.

- Kto pójdzie pracować razem ze mną? - zapytałem. Milczeli.

- Można się tego nauczyć - dodałem.

Bruno westchnął głęboko.

- Musisz przynajmniej spróbować, bo inaczej będziemy musieli polować na dzikie zwierzęta. A przecież nawet nie wiemy, które są jadalne ani czy znajdziemy ich dość, żeby się wyżywić.

Wiedziałem, że ciężko jest powrócić do zapomnianego już trybu życia. Wielu z nich pewnie by umarło. Mieszkańcy wioski sprawili, że poczułem się jak zbrodniarz. A Bruno wiedział, że trzyma mnie w garści, bo chciałem wrócić do miasta.

Bruno i June odprowadzili mnie do skraju polany.

- Przecież chcesz tam iść - powiedziała June, niepewnie szukając mego wzroku. - Zawsze chciałeś. Tam chyba jest twoje miejsce.

Próbowała się uśmiechnąć. Miałem wrażenie, że swoim odejściem sprawiam jej ulgę. Ktoś inny będzie miał z nią dzieci.

Bruno skinął mi głową na pożegnanie. Odwróciłem się i pomaszerowałem przez polanę. Nikt nie zaofiarował się, że mnie odprowadzi, nawet June, choć wszyscy chcieli żyć moim kosztem. Odchodząc czułem jednocześnie ból i radość. Będę pierwszym z nowych marzycieli. Inni dołączą do mnie, kiedy dosięgnę ich nocną myślą. Tyle czekało mnie odkryć!

Południowe słońce przeświecało przez chmury, kładąc na porośniętej mchem ścieżce wzór z jasnych łątek. Wsłuchiwałem się w odgłosy lasu. Wypełnił mnie wielki spokój. Szedłem szybko, by jak najprędzej wydostać się z leśnej wilgoci.

Wiedziałem, że ludzie w wiosce solą właśnie ostatnie zapasy żywności; czekają, aż dotrę do celu.

Miasto ciągnęło mnie ku sobie, mimo że żal wzywał mnie z powrotem do domu. Przyśpieszyłem kroku, próbując przełamać gnębiące mnie rozterki. Cicha pustka opadła moje myśli i ustąpiła dopiero, kiedy późnym popołudniem zwolniłem tempo.

Zastanawiałem się, jak postąpiliby mieszkańcy wioski, gdybym odmówił. Czy zaciągnęliby mnie do miasta siłą? Pośród ciepłej wilgoci lasu czułem się bardzo samotny. Zapach żywych i rozkładających się roślin napełniał mnie dziwnymi przecuciami, lecz wolałem to niż ciche osamotnienie, które towarzyszyło mi poprzednio.

Kiedy wyszedłem z lasu, chmury nad miastem ułożyły się w wykrzywioną maskę, a zachodzące słońce zaświeciło mi prosto w oczy. Zadrzałem od chłodnego powiewu i obejrzałem się ku dryfującym cieniom lasu. Potem wciągnąłem głęboko powietrze i ruszyłem przez równinę. Moja determinacja stała się barierą, która broniła mnie przed własnymi wątpliwościami i odcinała od tego, co poznałem wcześniej.

Znalazłem pustą skrzynię. Wiedziałem, że przynajmniej jedna musi być pusta, bo przecież jeden marzyciel zdołał się wydostać. Ciało tamtej kobiety było już samym szkieletem i leżało tam, gdzie je zostawiliśmy, zadziwiająco szybko odarte z ciała.

Czy mam po prostu położyć się w środku? Czy będę musiał wstawać, żeby coś zjeść? Chyba już nie będę potrzebował jedzenia. Podniosłem wieko i zajrzałem do środka. Zawsze mogę przecież wrócić do domu, jeśli nic się nie wydarzy. Do domu - gdzie byłem nieudacznikiem, osieroconym marzycielem, którego dom rodzinny zburzył kiedyś słoniowaty pomysł.

W środku znajdowało się wgłębienie dostosowane do kształtu ludzkiego ciała. W dolnej części pleców miało dwa niewielkie otwory. Przy głowie przymocowano jakąś myckę.

Ile będzie ze mnie pożytku, jeśli tylko ja jestem tu żywy? Może zdołam nakarmić swoją wioskę, ale nic poza tym.

Wszedłem do środka i położyłem się. Czapeczka pasowała jak ulał. Opuściłem wieko i czekałem.

Poczułem na ciele mrowienie, opadła mnie senność.

Potem coś zaczęło drapać mnie w dole pleców. Pojemnik wypełnił się dziwnym zapachem. Krzyknąłem, kiedy od spodu coś wbiło się we mnie i zaczęło penetrować moje ciało. W żołądek wśliznął mi się ognisty wąż.

- Pomóżcie mi... - szepnąłem w nagłym przypiływie rozpacz. Z oczy popłynęły mi łzy. Osłabłymi ramionami naparłem na wieko, lecz po chwili ręce opadły odrętwiałe.

Ból w tułowi sprawił, że zapadłem w gorączkowy sen.

Kiedy się ocknąłem, cierpienie w środku ustało. Czułem się trochę silniejszy. Moje oczy znów zaczęły widzieć i zapatrzyłem się w błękitny przestwór. Zalało mnie poczucie bezkresu własnych możliwości.

Porwała mnie radość.

Lecz kiedy przygotowywałem wolę do wielkiego cyklu wytworów, jakieś czujniki zaczęły plądrować moją pamięć, wyłapując zarówno chwile szczęścia, jak i cierpienia. Pod ich dotykiem na nowo zapiekły bolesne miejsca.

- Daj im to, czego potrzebują - rozkazał mi wszechogarniający szept. - Nakarm okolicę! - I wiedziałem, że moja reakcja wywoła albo przyjemność, albo ból.

Zwoje nerwowe szarpnęły się: nadpłynęła odżywka. Ciało rozboleło od sprzeciwu. Z pewnością moje własne wytwory także mogłyby wyżywić okolicę.

- Nie! To je osłabi - zgrzytnął we mnie tamten szept.

Zdławiłem własne tęsknoty i zacząłem formować przestwór w kształty, posłuszny nakazom Centrum. Odrywały się ode mnie ogromne gmatwaniny; czułem, że kiedy wyrrywają się na wolność, zabierają ze sobą kawałki mnie, pozostawiając w mózgu krwawiącą pustkę. Zrobiło mi się przyjemnie, kiedy pozęgłowały w dal, lecz wkrótce ze smutkiem zdałem

sobie sprawę, że zawsze będę znał je tylko od środka - nigdy nie zobaczę ich z daleka.

Nagle zrozumiałem z przerażeniem: Brunonowie tego świata zaprzęgli marzycieli w jarzmo, żeby dostarczali ludzkości pożywienia. Ci, którzy nadają kształty, pobierają energię słoneczną i wykorzystują ją do zaspokajania fizycznych potrzeb innych ludzi, porzuciwszy swe wewnętrzne pieśni.

- Nie wydawaj zbyt dużo i zbyt łatwo - pouczało Centrum, zgodnie z własną wiedzą o początkach ludzkości. Centrum było zdyscyplinowane, cenzurowało piękno i eksperymenty. Znało ograniczenia świata, bo i ono im ulegało. Centrum przypominało mi Brunona.

Pole siłowe wokół miasta wyłączano, kiedy potrzeba było nowych kształtowaczy, kiedy wyniszczały się układy nerwowe i wyczerpywał młodzieńczy wigor ich poprzedników. Ta pomysłowa pułapka wysuszyła całe rzeki myśli, obrazów i miłości.

Moja ekstaza zniknęła bez śladu. Zaśpiewałem histerycznie, kiedy poczułem, że wraca potrzeba tworzenia, przepływając przeze mnie wprost do komory kreatywnej. Lecz Centrum powstrzymało mnie, zanim zdołałem cokolwiek ukształtować, więc sprawiłem tylko, że energia zakrzepła w bryłę dla tych, co nie potrafią sami ułożyć sobie świata.

Małe fantazje pączkowały w ogromne bryły białka. By złagodzić swój wstyd, odziewałem je w błyszczące pokrywy i wypychałem z umysłu. Centrum odrzuciło mój szyderczy impuls do produkowania sterylnych, szarych sześcianów.

Często zastanawiałem się, czy marzyciele kiedyś się zbuntowali, czy kiedykolwiek udało im się postawić na swoim w tej nieustannej walce z Centrum. Przypomniałem sobie młot Brunona roztrzaskujący kruchy wymysł. Uciekająca postać, którą rozwiął wiatr, to był kształtowacz, tą iluzoryczną ucieczką wyrrywający się z więzienia.

Wy, tam na zewnątrz! Słyszycie mnie? Znam wasze nocne tęsknoty! Dochodzą do mnie wasze szepty. Wstrząsają mną wasze lęki, wasze radości niosą mi ukojenie.

Nie wydostanę się żywy z tej skrzyni. Ludzie z mojej wioski stoją na polanie, trzymając w pogotowiu wyszczerbione haki.

A kiedy śpiewam, żeby osłodzić sobie cierpienie, widzę dzień, kiedy i ja stanę się pusty.

Przełożyła Kinga Dobrowolska

Słowotop

Gdy Felix przybył na przyjęcie, słowa pokrywały podłogę gęsto jak opadłe liście. Kwadrans po jedenastej w pokoju powinna panować cisza.

- Milczeć! - wrzasnął nie mogąc się pohamować.

Słowo uformowało się w powietrzu i opadło do jego stóp. Głucha para w kącie wciąż rozmawiała ze sobą na migi. Wszyscy nań patrzyli i poczuł, jak mu się ściska żołądek. Ciszę powinien był nakazać gestem, nie wrzaskiem.

Podeszła doń drobna kobieta o wielkich brązowych oczach i podała mu szklaneczkę. Łyknął. Wódka. W ten sposób kobieta mu oznajmiła: tak, wiemy, że masz parszywą robotę nadzorując reglamentację gadania. Obstawianie przyjęć dla chleba to żadna frajda, biedny sukinsynu. Wiemy.

Głowy pochyliły się, wyrażając aprobatę dla gestu kobiety.

Felix próbował się uśmiechnąć, zawstydzony faktem, że stracił zimną krew. Potem się odwrócił i wyszedł w chłodną październikową noc.

Na końcu przecznicy kompaktor czekał, aż zmioty wyczyszczą narożny dom. Felix rad był, że nie pracuje w centrum miasta, gdzie sprawy wymykały się zawsze spod kontroli, gdzie paplanina pogrążała całe kwartały na głębokość dwóch albo trzech metrów.

Głęboko zaczerpnął powietrza. Pilnowanie pięciu przedmiejskich ulic nie było takie złe szczególnie dlatego, że co miesiąc zmieniano mu trasę obchodu, przez co nie miał szans, by zaprzyjaźnić się zbytnio z właścicielami domów.

Ucisk w żołądku zmalął. Przynajmniej to przyjęcie nie przysporzyło mu żadnych kłopotów. Sam widział, że goście, dumni ze swych dobrych głów do picia i milczenia, próbowali zachować umiar, mówiąc w ciągu wieczoru tak mało, jak to tylko możliwe. Nie dostrzegł żadnych gaduł siedzących na stosie słowopadków. To była dobra przecznica, o wiele lepsza od tej z ubiegłego miesiąca.

Przez pustą ulicę przebiegł pies. Felix zwrócił uwagę, że ma kaganiec. Wszystko w porządku.

Mijając kompaktor, który włączywszy światła pograżył się bezgłośnie w następną przecznicę, powoli ruszył w stronę domu. Dwa skrzyżowania dalej skręcił w bok, by uniknąć przejścia przez lokalny plac, który wciąż uprzątano po wiecu politycznym.

Na ekranie telefonu była dlań wiadomość:

Poradźmy razem, kiedy wrócisz do domu.

Przyoszczędź swój.

Całuję, June.

Rozzłościły go te słowa, budząc na nowo ucisk w żołądku. Oczyszczył ekran, mając wiadomości za złe, że zburzyła uspokajający efekt jego długiej przechadzki do domu.

Wszedł do sypialni i położył się. Przy pewnym wysiłku mógł nieomal przypomnieć sobie owe czasy, gdy słowa jeszcze się nie materializowały. Miał może cztery albo pięć lat, gdy wydarzyło się to po raz pierwszy. Wspominał te obiekty cienkie jak wafle, litery połączone ze sobą w tak wielu różnych stylach, jak wielu było mówców.

Zrazu rzecz była nowinką, potem nieustanną zamiecią. Trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku miasta musiały sprzątać po codziennej klęsce żywiołowej, wywożąc słowa do pieców i na usypiska. Słowa płonęły tylko w wysokiej tempera-

turze i nawet wówczas wydzielały toksyczny gaz, który należało magazynować. Powstał projekt wykorzystania tego gazu, ale samo spalanie wymagało zbyt wielkiej energii, żeby przedsięwzięcie miało sens; później stwierdzono, że gaz jest bezużyteczny.

Kuracje psychiatryczne utknęły w martwym punkcie, by przybrać wreszcie postać wydruków komputerowych i terapii niewerbalnych. Filmy na powrót stały się nieme i podpisywane; tylko najzamożniejsi mogli sobie pozwolić na wywożenie pozostałości po jakimkolwiek seansie mówionym. Opery wystawiano w aranżacjach muzyczno-mimicznych.

Felix rozwarł oczy i usiadł po ciemku. Gdzieś w oddali po ulicach przebiegał dewiant. Ledwie słyszał jego skowyt, ten jednak był na tyle głośny, by mu przypomnieć czasy, kiedy sam był dewiantem.

Niezdolny zapanować nad sobą, pod gigantycznym więzaniem na obrzeżach miasta nieomal pogrzebał się w słowach. Wyciekały zeń, jakby próbując przewyższyć liczebnością gwiazdy, on zaś trzymał się za brzuch i wywrzaskiwał plugaństwa.

Wyjaśnił mu to później Bruno Black, który był zupełnie dorosły, zanim odmienił się świat. To milczenie, przeciągłe, brzemienne myślami milczenie, złamało jego panowanie nad sobą, tak samo, jak uczyniło to niezliczonej rzeszy innych. Napadła go pewnego dnia potrzeba nieopanowanego gadulstwa i przewaliwszy się przezeń jak wichur odebrała mu zdrowy rozsądek, obdarzyła swobodą paplania, stłamsiła dowcip i umiar, uczyniła z jego ust rzekę rwącą powodziową falą słów... i w końcu ów boski nonsens przeczyścił mu umysł.

Teraz, słuchając skowyczącego w mroku odległego dewianta, znów doświadczył pokusy rzucenia paru krótkich słów; wyrastała wokół niego dżungla, grożąc unicestwieniem całej jego samokontroli, gdy tylko zapadnie w sen, kusząc rozkoszami większymi niż milczenie...

Odległy dźwięk umilkł. Złapali go. Samson, Winkle, Blake - wszyscy strażnicy ulic zbiegli się w miejscu eksplozji, by ją stłumić. I słowozmioty sprzątały już, prasowały, wywoziły na wysypiska.

Zastanawiał się przez moment, czy nie mógł to być Bruno, ale zaraz odrzucił tę myśl: głos Brunona był dużo niższy. Mogła to być kobieta. Felix rozluźnił się i na powrót położył.

Obudził się w nocy i podszedł do biurka. Dostrzegł rozjarzony ekran telefonu i przypomniał sobie wiadomość od June. Nowa wiadomość mówiła:

Ty sukinsynu!

Odpowiedz, na rany boskie.

Czy Bruno znów jest z tobą?

Co wy robicie we dwóch?

Oczyścił ekran i włączył lampę na biurku. Potem usiadł i wyjął dziennik Brunona. Popatrzył nań w świetle lampy, przypominając sobie, jak wiele przez te lata przyniósł mu ulgi. Drżały mu palce. Wewnątrz, na stronicach, były wszystkie rzeczy, które chciał wypowiedzieć, ale to Bruno je zapisał.

Otworzyłszy na chybił trafił spojrział na schludne pismo. Bruno nie był wielosłowny, nawet na papierze, gdzie gadulstwo nie stanowiło zagrożenia. Same zaś litery były kształtne, a zdania przemyślane i klarowne. Gdyby ktoś je odczytał na głos, nie przekroczyłby swej racji dziennej.

Przeczytał wczesny zapis:

23 lipca 1941 r.

Gdy słowa poczęły się materializować, różnica między językiem a rzeczywistością fizykalną uległa zaćmieniu. Pojawienie się słów mówionych w rozmaitych, zależnych od artykulacji mówcy, kształtach i rozmiarach narzuciło stan wyjątkowy milczenia, poparty zrazu w niektórych częściach świata wymierzaną cichaczem karą śmierci. Postęp materializacji należało uciąć za wszelką cenę, w przeciwnym bowiem razie świat pogrążyłby się w totalnej depresji ekonomicznej...

Depresja przyszła i minęła, pozostawiając po sobie nowy kodeks postępowania, słowozmioty, kompaktory i strażników ulic - oraz tajemnicę głębszą niż sam fakt istnienia. Bruno miał pewność, że musi być jakieś wyjaśnienie; dziennik prezentował dwadzieścia lat spekulacji poświęconych temu problemowi. Możliwość istnienia takiej odpowiedzi, myślał Felix, to jedyne, co utrzymuje mnie w kupie. Nie wiem, co zrobię, jeśli Bruno nie wróci.

Ktoś zaczął walić do drzwi wejściowych. Felix wstał i poszedł sprawdzić. Otworzył drzwi i wkroczyła June - minąwszy go podążyła do salonu, gdzie włączyła wszystkie światła.

Zamknął drzwi i stawił jej czoła.

- Traktujesz mnie, jak gdybym wcale nie istniała! - wrzasnęła. "Mnie" było delikatne: opadłszy na dywan rozsypało się w kawałki.

"Traktujesz" wyglądało jak łańcuszek i zastukotawszy w stolik do kawy wytworzyło jeszcze kilka nonsens-mas, nim ostatecznie zamarło. "Jak" przemknęło obok niego niczym jaskółka i rozwaliło się o ścianę, produkując jeszcze trochę nonsens-masy. "Gdybym" osiadło z wolna na dywanie; "wcale" wbiło się w wełnę tuż obok niego. "Nie" oraz "istniała" zderzyły się w powietrzu, rozsiewając swoje litery.

Felix rozłożył ramiona lękając się mówić, pełen obaw, że w każdej chwili jego dewiacja wyślizgnie się z mroku w głębi jego istoty i zapanuje nad nim. Czyż ona nie wie, jak ciężkie on, Felix, prowadzi życie? Mówił jej setki razy. Wyraz litości począł się formować na jej piegowatej twarzy, przywodząc mu na myśl brązowooką kobietę, która poczęstowała go wódką; ale raptownie zniknęła. June odwróciła się i podążyła ku drzwiom.

- Z nami koniec! - wrzasnęła wychodząc. Słowa wisiały jeszcze w powietrzu, gdy zatrasnęła za sobą drzwi, spadły więc koło wieszaka. Spojrzał na wytworzone przez jej

stukanie nonsens-masy, przepełniony wdzięcznością, że drzwi są solidnie wyściełane.

Pozwolił sobie na westchnienie - w myśli - i usiadł w fotelu przy lampie. Przynajmniej znikną teraz napięcia, jakkolwiek mocno będzie za nią tęsknić. Wkrótce, jak wiedział, będzie musiał ruszyć na poszukiwanie Brunona. Zegar nad kominkiem pokazywał czwartą rano.

Włączył radio i słuchał łagodnej muzyki. Nuty formowały się, by wyparować jedna po drugiej. Włączył się klawikord i migotliwy żywot jego dźwięków był nieco dłuższy. Długo patrzył, jak powstają i nikną, dumając, co również tak często czynił w swym dzienniku Bruno, jakie wcielenie kosmicznej sprawiedliwości pozwoliło przetrwać muzyce.

Gdy sonata Scarlattiego potężniała ku finałowi, krystaliczne dźwięki nadbiegały coraz szybciej i szybciej, osypując pokój rozedrganymi nutami...

June nigdy Brunona nie lubiła; nie miała w sobie mroku. Jak ci, co zapominali o samoświadomości rodzonej przez mowę, nie potrzebowała mówić. Wyłączył radio i zastanawiał się, czy jego sąsiad przez ścianę, pan Seligman, pogrąża się teraz w słowach wyrzucanych przez sen.

Ile dzieci śpi w swych ćwiczebnych kagańcach aż do czasu opanowania samokontroli?

Jego dłonie znowu zaczęły drżeć. Pragnienie, by przemówić, narastało w nim niemal równie mocno, jak w dniach jego dewiacji. To wizyta June dała mu impuls; fakt, że ją utracił, miała nań większy wpływ, niż uprzednio sądził.

- June - powiedział miękko, pożądając jej.

Słowo było krągłe, litery połączone płynnymi łukami. Spłynęło na dywan, on zaś podniósł je i wrzucił do wyłożonego filcem kosza na śmieci. Dłonie wciąż mu drżały. Powstawszy jął przemierzać pokój. Po paru minutach spostrzegł, że w sypialni jarzy się ekran. Przeszedł przez otwarte drzwi, usiadł przy biurku i przeczytał:

Meldunek o zakłóceniach na wysypisku.

Sprawdź z rana, kiedy rozpocznieś dyżur.

Webber

Odbiło któremuś z pozostałych, pomyślał, i chcą, żebym go przyprowadził do domu.

Zmieniwszy koszulę i buty Felix wyszedł na zewnątrz. Odczepił rower od stelaża, wspiął się na popękane skórzane siodełko i jął pedałowac pustą ulicą. Zimne wilgotne opary unosiły się wokół parterowych podmiejskich domków. Paliła się tylko co piąta latarnia, a i te, w miarę jaśnienia nieba, poczynały gasnąć. Oceniał, że dotarcie na wysypisko zajmie mu pół godziny. Pamiętał je jako wyschniętą równinę, z której wiatr unosił kłęby kurzu.

Wkrótce teren nie będzie w stanie pomieścić więcej słów ani śmieci; był zapełniony, tylko tu i ówdzie zdarzały się dziury. Należało znaleźć nowe miejsce.

Zbliżając się do wysypiska Felix spostrzegł niezwykłość murawy po obu stronach drogi. Słońce wypłynęło z za horyzontu na przejrzyste błękitne niebo i trawa zdała się nagle sfilcowaną sierścią zwierzęcą wyrastającą z czerwonej skóry. Kiedy stanął na pedałach, by pokonać wzgórze, wyczuł w powietrzu ostry, jakby cytrynowy odór.

Dotarłszy do szczytu stanął.

Wysypisko pokryte było drzewami, które wyglądały jak mech albo wysokie kalafiory. Ostry zapach był tu silniejszy.

Wsiadł z powrotem na rower i zjechał na dół.

Gdy się tam znalazł, spowiła go cisza, jak gdyby dotarł do cichego środka świata. W miarę zbliżania się do lasu począł rozważać możliwość intensywnego programu zadrzewiania, ale zaraz pojął, że w tak krótkim czasie nie byłoby to rzeczą możliwą.

Minął pierwsze drzewa. Wydawały się bardzo świeże, jak kończyny młodych dziewcząt, podgięte ku górze, rozwarłte zapraszająco; między gałęziami rósł miękki żółtozielony mech.

Coraz bardziej zaniepokojony pedałowal przed siebie, ale cisza była kojąca, uspokajała go. Cytrynowa woń drzew usuwała z jego głowy senność. Nagle wjechał na niewielką polanę i stanął o krok od krawędzi wielkiej dziury. Na dnie, otoczony rosnącą stertą słów, siedział gadający do siebie Bruno Black.

- Cześć, Bruno - słowa uformowały się i stoczyły po piaszczystym zboczu.

Jasnowłosa mężczyzna podniósł wzrok. - Zejdź na dół. - Słowa wyprysły z jego ust i wylądowały na stosie.

Felix zaczął schodzić.

- Tu jest bezpiecznie - wrzasnął Bruno. - Możemy mówić, ile się nam podoba.

Dotarłszy do masywnej siedzącej postaci Felix zauważył, że ubranie Brunona jest brudne i postrzępione.

- Pozwól, żebym cię stąd wyciągnął - rzekł Feliks. Uformowały się i spadły do jego stóp tylko trzy pierwsze słowa. - Zauważyłeś?

- Co się dzieje, Bruno?

Słowa nie uformowały się teraz wcale, jakby fenomen poczynał zamierać. - Tak jest tylko tutaj - powiedział Bruno. - Nigdzie indziej. Felix usiadł obok rumianolicego mężczyzny i obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Bruno... znasz mnie?

- Oczywiście, Felix, nie bądź durniem. Jesteś moim przyjacielem.

- Co tu robisz?

- Sądzę, że wykombinowałem - to wszystko, dlatego tak się dzieje i dlatego tu nie. - Trzy ostatnie słowa uformowały się, kalekie szare literki unoszone wiatrem jak dym.

Bruno odpędził je na bok niedźwiedzim wymachem łapy.

- Felix, może teraz naprawdę wiem. Nie jestem psych.

Felix posłyszał wiatr przewalający się nad jamą, jak gdyby coś wpadło w gniew. Przypomniał sobie boisko szkolne, wiele lat temu, i dzieci milcząco grające w kosza.

- Masz szpadel?
- Nie - odparł Felix - ale mogę przynieść.

Znow żadnych słów. Bruno wpatrywał się w niego.

- Cudowne, prawda?
- Bruno... jak długo tak tu jest?
- Od około miesiąca.
- To wszystko wyrosło w ciągu miesiąca?

- Drzewa wyrosły z zagrzebanych słów, Felix, bo to były brzemienne słowa...

Cisza między nimi była czysta, wolna od słów.

- To pojawia się i znika - rzekł Bruno. Wyłoniły się wszystkie słowa,

O literach sękatych jak gałęzie drzew, i opadły na kolana Brunona.

- Jest coś, co to powoduje - powiedział usuwając je. - Zakończymy całą sprawę, kiedy to coś znajdziemy. Kluczem do tego interesu jest szpadel.

W pewien sposób miało to sens.

- Na rozwidleniu drogi jest szopa z narzędziami - rzekł Felix. - Ale masz pewność, że jesteś w dobrej kondycji?
- Tylko wyglądam kiepsko.

Nie było słów. Felix borykał się z myślami wyłaząc z jamy. Bruno zdecydowanie na coś wpadł.

Bruno kopał dłońmi, kiedy Felix wrócił z dwoma szpadlami. Wrzucił je do dziury i zsunął się na dół.

- To, co stało się ze światem, nie może być naturalne - powiedział Bruno ująwszy szpadel i przystąpiwszy do kopania. Felix chwycił i kopali wsparci o siebie plecami.

- Dlaczego nienaturalne? - zapytał Felix.

- Może i mogło być... jakaś anomalia w geometrii przestrzeni formuje słowa reagując na wydawane przez nas dźwięki. Doszedłem do wniosku, że to nie jest naturalne i po-

szukiwałem zakątków, gdzie nie będzie występować. - Dlaczego się to wszystko zaczęło?

- Może była to sprawa polityczna - odparł Bruno. - Ktoś planował jakąś formę kontrolowania myśli, ale rzecz wymknęła mu się z rąk. Przed laty, sądzę, nasi politycy skontaktowali się w dalekim Kosmosie z obcą cywilizacją, może telepatycznie, i nauczyli się konstruować... pewne urządzenia. Może owa obca kultura uważała, że nauczy to nas bardziej precyzyjnego myślenia. - Roześmiał się. - To coś więcej niż poetyckie majaczenie, wiesz. Mowa w równym stopniu jak wytwarzanie narzędzi, jest bezpośrednio odpowiedzialna za rozwój naszej inteligencji i samoświadomości. Jesteśmy na tyle sprytni lub tępi, na ile sprawnie posługujemy się słowem. To automatyczne programy i nawyki paraliżują umysł, dogmatyczne labirynty...

Przerwał. - To nie ta jama, musimy spróbować gdzieś indziej.

Bruno może po prostu być szalony, pomyślał Felix, nic więcej.

- Chcąc wywrzeć wpływ na kulturę - ciągnął Bruno - nałóż ograniczenia na jej posługiwanie się mową i obserwuj, jak - w taki sam sposób, jak słuch u ślepców - rozwija się wrodzona wynalazczość.

Felix wygramolił się z jamy i pomógł wyleźć Brunonowi.

Po wysypisku hulał wiatr szeleszcząc osobliwymi drzewami, które, zdawało się, zyskują z wolna świadomość obecności intruzów... Wszędzie leżały opadłe liście. Jedne wydały się przegniłe, jak stare zniekształcone monety, inne zwijały się w małe rurki. Wiatr dął, wirował nimi, rozrzucał, tracąc swą energię ruchu, by unieść je w powietrze. Znowu Felix doznał uczucia trwania na krawędzi świata. Zastanawiał się, co by pomyślała June, gdyby zobaczyła go tu z Brunonem.

Potem spostrzegł, że drzewa są, z pozoru, uformowane na kształt liter, pogiętych i ułomnych, jak przypomnienie milionów pogrzebanych w ziemi słów.

- Kopmy pod jednym z drzew - zaproponował Bruno. Pięć słów wyleciało z jego ust; pochwycił je wiatr i zaniósł w gałęzie, gdzie rozsiadły się jak drozdy.

Felix podszedł do najbliższego drzewa i zaczął kopać. Bruno doń dołączył. Słońce pięło się ku zenitowi.

- Próba - rzekł Bruno. Nie pojawiło się żadne słowo.
- Może odmieniono coś w naszych umysłach, by powstało słowo, kiedy mówimy...

- Masz na myśli, że może nie być żadnej maszyny?

- Co to? - zapytał Bruno wskazując palcem.

Z ziemi wystawał krystaliczny pręt. Felix wszedł do dziury i kopał dalej; Bruno zaś odpoczywał. Z wolna wyłonił się skomplikowany mechanizm, sześcienny kształt ze szkliscie metalicznych złącz, gmatwanina połyskliwych rurek i przegubów, lustrzanych powierzchni i masywnych brył.

- To jest... jak wielki wyrób jubilerski - powiedział Felix.

- Tego się obawiałem - rzekł Bruno. - Uważałem, że istnieje jakiś przekaźnik, generator, coś, co jak świat długi i szeroki zmienia słowa w przedmioty materialne. Miałem nadzieję znaleźć lokalną stację nadawczą tego systemu...

- Co to jest w takim razie?

Bruno złapał się za pierś i osunął na twarz łagodząc upadek szpadlem. - Jesteś chory - powiedział Felix, kucając obok niego.

- Moje serce... ale słuchaj. Mogę umrzeć, ale ty musisz usłyszeć. Wyraz obłędu pojawił się na twarzy Brunona, który jakby pojął, że jego zrozumienie prawdy jest wyższe od wszystkich otaczających go kłamliwych potęg. Podciągnął się do tyłu, aż usiadł na ziemi wsparty o drzewo, z jedną nogą w dziurze.

- Spróbuj się nie ruszać, pójdę po pomoc - powiedział Felix.

- Słuchaj! - Bruno uniósł dłoń do twarzy i potarł oczy. Potem spojrział na nieziemski artefakt i zaczął mówić

niskim jedwabistym tenorem. - Ludzkość pogrążyła się we śnie. Może był to efekt jakiejś rozległej zapaści spowodowanej długim nadwężeniem umysłów od dawna przeciążonych jarzmem metafory i porównania, paradygmatu i tautologii - u istot, które marzyły o poznaniu wszechświata wprost, znużone inscenizowanymi szaradami, cieniami realnych rzeczy padającymi przez brudne okna oczu, wciskanymi przez hałaśliwe aleje uszu...

Jego głos stał się płaczliwy i smutny. - Zniechęciła nas ślepotą dotyku, łgarstwo smaku i powonienia, rozczarował dziecinny nie-za- mały i nie-za-duży wszechświat wiedzy i niewiedzy, niespokojnej ucieczki z ignorancji we względne rozumienie, rozciągnięty mocno między ekstremami tego, co wystarczające i niewystarczające, między dużym i małym. Nie mając szansy na wszechwiedzę, nie byliśmy przecież tylko Niczym. Beznadziejność przepełniła miarę, wpędzając nas w tę zbiorową ułudę. - Zamknął oczy i na twarzy przyjaciela Felix dostrzegł łzy.

- Ale może to jarzmo obcych - powiedział Felix. - To już bym wolał, ale ta durna maszyna... Zakaszlał i przycisnął pierś.

- Bruno!

Felix chwycił szpadel i uderzył zdobną maszynę. Był to cios w imię obiektywizmu, wykuwający drogę do wszechświata poza ułudą, w imię położenia kresu męce brutalnych słów usiłujących się zeń wyrwać. Uderzył maszynę jeszcze raz; może ten cios odmieni coś w ludzkiej duszy.

- Nawet jeśli skończymy z tą - głośno wyszeptał Bruno - nie wiemy, w co jeszcze możemy się rozbudzić.

Felix uderzył maszynę po raz trzeci.

- To tylko projekcja naszych pragnień, Felix: znaleźć odpowiedź... Świat pomroczył i wiatr miotnął gałązkami w nich i w maszynę. Urządzenie zapulsowało i znikło. Gałązki wydawały się węzami, kiedy Felix próbował się z nich wyswobodzić. Bruno wydał przerażający odgłos. Felix poczołgał

się ku niemu i zajął mu w twarz. Oczy Brunona były szkliste, jak kryształ maszyny, i wpatrzone w otchłań.

- Widzę to - skrzeknął Bruno, a jego słowa drżały. Felix rozejrzał się dokoła. Na świat naciągnięto czarny wór.

- Co widzisz?

- Widzę to wszystko! - Słowa wibrowały, ale nie uformowały się.

- Ja nie widzę nic - ciemność była nieprzenikniona.

- Nieczułe... ślepe, nic tu po nas - wymamrotał Bruno.

Felix natężył wzrok. Mrok pulsował. W uszach usłyszał skowyt, jego oczy pognały przez barwny chaos; w każdej chwili spodziewał się zderzenia z murem.

- Nic dla nas - mówił Bruno. - Tylko ograniczenia, poniżające kajdany zamiast woli, która może sięgnąć nieskończoności albo skupić się na najmniejszym...

Kontinuum chwiało się i Felix padał. Wkradał się weń chaos. Nie poczucie przypadku albo statystycznego nieładu podporządkowanego własnym prawom, ale bezduszna nieobliczalna płynność, okrutna, niepoohamowana, nieodwołalna - pulsujące podglebie rzeczywistości. Odbierał je sposobem jedynie możliwym, przez wąską szczelinę swych ograniczonych zmysłów szarą, nieziemską masę z jądra czasu, z serca duszy, wchłaniającą cały wszechświat, kosmicznego diabła w pudełku gotowego zawsze zadać kłam wszelkiej pozie, niepokonaną istotność, kontrolowaną tylko ułamkowo.

- Bruno! - zawołał, ale słowo urodziło się jako nonsens.

Mrok bledniał i dostrzegł Brunona siedzącego pod drzewem.

- Nic ci nie jest! - wrzasnął Felix z ulgą.

Bruno podniósł wzrok, ale zdawał się tkwić po drugiej stronie bariery. Wic wore tos repelton - powiedział z uśmiechem.

- Co?

- Repelton, tos?

Patrzyli na siebie, gdy ostatnia drobina informacji przeslizgiwała się przez most milczenia, odkrywając im sytuację.

Felix postąpił krok do przodu, ale Bruno cofnął się na pozór, jak gdyby ujęty w ramy i pociągany przez kogoś do tyłu.

Klatki, uświadomił sobie Felix. Umrzemy w samotności, o ile nie zdołamy osiągnąć się nawzajem. Nigdy już nie dotknie June, ani nawet do niej nie przemówi; będą na siebie patrzeć przez niewłaściwy koniec lunety, próbując bełkotem nazwać na nowo rzeczy najprostsze. Nasze choroby, nasze pragnienie odmienienia świata, zdeformowały wszystko.

Bruno machał doń dłonią. - Tos? Wixwell, mamtom ono!
- Potem wzruszył ramionami i dodał: - Prexel worbout it.

Felix zaklął, ale słowo było nie do odczytania, kiedy w dwóch egzemplarzach opadło na ziemię u jego stóp.

Przełożył Andrzej Ziembicki

Och, Miranda

Autor: Charles Pellegrino Autor: George Zebrowski

(Oh, Miranda!)

- No dobra, idź w kierunku grani - usłyszał w słuchawce głos Cusacka.

Stał na czymś, co przypominało pokryte śniegiem alpejskie zbocze. Od dna kanionu dzieliło go szesnaście kilometrów.

Nawet w nowiu potężna, turkusowa kula Urana dominowała nad niebem, oświetlając krajobraz upiornym, błękitnym światłem.

Lex Bardo, stojąc w cieniu ciężkiego wehikułu, poczuł się nagle mały i samotny.

- Gdybyś był tak uprzejmy - usłyszał głos Cusacka, siedzącego bezpiecznie w kabinie. - Chcielibyśmy zacząć transmisję na Ziemię.

Bardo zawahał się.

- Co jest? - głos w słuchawce zażądał wyjaśnień. - Co z tobą?

- Nic mi nie jest - odpowiedział Bardo drżącym głosem.

Poczuł suchość w gardle, gdy pomyślał o swych długach.

Następnie uspokoił się nieco, uświadamiając sobie, że przy tej próbie nie będzie wymagana tak istotna w innych przypadkach forma fizyczna.

- Przestań się martwić - powiedział Cusack. - Czy nie mówiłem ci, że niezależnie od wszystkiego spłacimy twoje długi? A ponadto, jeśli hologram okaże się sukcesem, rok w rok otrzymywać będziesz procenty od zysków.

- Nadal nie brzmi to przekonująco - odparł Bardo.

- Nie prosimy cię, byś się zabił.

- To nie ma znaczenia.

- Trwający piętnaście minut hologram skoku będzie największym wydarzeniem od czasu twego wyczynu na Jupiterze w 2016 roku. Zyski uratują firmę. Czyżby jednak strach cię obleciał? Pomyśl, znowu znajdziesz się na samym szczycie sławy! - przekonywał go Cusack.

- Wyłożona zaliczka już uratowała twoją firmę - odparł Bardo.

- I to cię martwi?

- Spłacisz moje długi niezależnie od wszystkiego?

- Niezależnie od tego, czy będziesz żywy czy martwy - zapewnił go Cusack. - Ile razy mam ci to powtarzać? Wszystko jest w kontrakcie, zostaniesz spłacony z pierwszych zysków.

No tak, pomyślał Bardo, dla wszystkich starczy grosza.

- Przestań się zadrećcać. Musisz jedynie skoczyć.

Jeśli zginie, nie będzie to miało najmniejszego

znaczenia, pomyślał Bardo, zastanawiając się nad zmiennością gustów widzowni. W najgorszym przypadku z jego majątku można będzie spłacić pożyczki. Pozbędzie się uczucia, że niczym nie różni się od zwykłych, tułających się

po kryminałach, dłużników. Jego była żona otrzyma należne jej i dzieciom alimenty. Cusack ma rację - istnieje małe prawdopodobieństwo, że coś mu się stanie.

Czy się boi? Cusack wyczuł jego wahanie. Jeszcze nie tak dawno nie uląkł się jowiszowego huraganu, obejmującego obszar trzykrotnie większy od powierzchni Ziemi, za to, drobniak, złamanie karku w zwykłym wypadku drogowym, kilka przecznic od domu, rzuciło go na kolana, uświadamiając mu

Zebrowski George - Och Miranda własną śmiertelność. Współczesna technika medyczna uratowała go na tyle, że poza pewną sztywnością po wypadku nie pozostał najdrobniejszy ślad.

Prawa rządzące ludzkim życiem zawsze były mu nieprzychylne. Wszystko mogło się zdarzyć wśród cywilizowanych społeczeństw Ziemi. Kierowcy traktowali przepisy ruchu drogowego jedynie jako zalecenia. Sędziowie siedzieli w kieszeniach kryminalistów. Uczucia ludzkie cechowała nieśmiałość. Tu, w tej wiecznej ciemności, gdzie liczyły się tylko prawa natury, bardziej czuł się obywatelem świata, któremu nie można niczego narzucić i którego nie można kupić. Przecież i tak w końcu stanie się częścią Kosmosu. Pozbawiona powietrza i życia Miranda, zezwalając na ten test, tak obcy naturalnemu porządkowi rzeczy, przywróci mu odwagę i godność.

To był prawdziwy powód, dla którego znalazł się tu, pod kulą błękitnej pary, tak wielkiej jak Ziemia, podzielonej na pierścienie cienkie niby nić pajęcza, z lekką poświatą zórz polarnych, oświetlających mrok nocy. Słońce, oddalone o trzy godziny świetlne, wyglądało jak ziarnko fasoli i nie świeciło jaśniej od Księżyca. Uran na krótki moment stał się bramą do leżącego po drugiej stronie czasu kosmicznego, potężnego oceanu...

Małej Mirandzie grawitacji starczało zaledwie na wytworzenie własnej sfery przyciągania, ale nawet w mizernym polu człowiek skaczący z grani kanionu w trzy minuty nabie-

rze śmiercionośnej prędkości. Po dziesięciominutowym, niczym nie zakłóconym locie, znajdzie się na dnie, rozpłaszczony w swym kombinezonie ciśnieniowym, wzbijając gejzery tlenu i czerwoną mgłę, której opary rozejdą się na wiele kilometrów we wszystkich kierunkach i zginą równie szybko, jak powstały, w ciszy, normalnej dla tych pozbawionych powietrza światów. W czasie opadania będzie mógł wydobyć z siebie jeden długi krzyk.

Oczywiście, nie będzie spadał przez całe dziesięć minut.

Lot zwolnią żelazne kule umieszczone w puszcze na plecach. To jego spadochrony. Podniósł w górę raketnicę i oddał próbny strzał, posyłając w kierunku równika Urana jedną z lśniących kul. Wyleciała do góry z prędkością kilkakrotnie większą od drugiej prędkości kosmicznej Mirandy, a odrzut o parę centymetrów przybliżył go do krawędzi kanionu. Kula, odbijając światło słoneczne, zamrugła srebrzyście, jaśniej niż gwiazda, i zdawało się, że zniknęła w pierścieniach Urana.

- Pamiętasz? - rzucił do mikrofonu łączącego go z Cusackiem. - Żadnych rozmów. Muszę się skoncentrować.

- W porządku - odpowiedział Cusack.

Bardo spojrział w kierunku automatycznych kamer umieszczonych na dachu kabiny, podniósł rękę, pomachał, gdy ukazały się czerwone światła i odwrócił się.

Jego pierwsze kroki w kierunku przepaści były już przekazywane na Ziemię, Marsa i kolonie księżycowe. Ogarnęło go uczucie nicości. Bo przecież, tak naprawdę, przygotowanie i wykonanie numeru kaskaderskiego to pestka. Był dumny ze swych umiejętności, wiedzy i odwagi, wymaganej przy tego typu pracy, ale nie uważał jej za zajęcie twórcze. Nie był autorem teorii, obrazu, wiersza, czy też powieści, która miałaby pozostać po nim. Hologramy jego wyczynów inspirowały innych, ale same w sobie nie były dziełami sztuki - nie potrafił nawet zatrzymać pieniędzy, które mu przynosiły.

Jedyną jego drogą do sławy były one same, bo nikt o zdrowych zmysłach nie potrafił się na nie zdobyć.

Ale tym razem był zdecydowany wygrać. Życie za bardzo dało mu w kość, by mógł sobie pozwolić na przegraną, pomyślał, zbliżając się do krawędzi najwyższej skały systemu słonecznego. Szesnaście kilometrów pionowo w dół - to nie może być tak trudne, jak się zdaje, mimo położenia skały i temperatury minus trzystu stopni. Wyposażenie nie powinno go zawieść w tak krótkim czasie. Oddany niegdyś skok na Ziemię był o wiele bardziej niebezpieczny.

Świadomość podpowiadała mu, że może skoczyć, ale reszta jego ciała nie chciała się jej podporządkować. Irracjonalny strach paraliżował mięśnie nóg. Przekonywał sam siebie, że ten skok z krawędzi zmusi go do zwalczania własnych wątpliwości. Gdy prowadzisz konia do przeszkody, musisz wierzyć, że ją weźmiesz, w przeciwnym razie zwierzę wyczuje twoje wahanie. Gdy z wiarą w sercu pokonujesz płot, koń będzie posłuszny twej woli.

Ruchy jego ciała stały się płynniejsze, narastała w nim wiara w siebie, gdy z wolna przecinał czterystukilometrowej szerokości kulę lodu i skały, jaką była Miranda. W skafandrze, łącznie z żelaznymi kulami, ważył niewiele ponad cztery funty. Ale jego masa była taka sama, jak na Ziemi czy gdziekolwiek indziej, co sprawiało, że spadać będzie sto razy wolniej. Podstawa to poruszać się małymi kroczkami, nawet najmniejszy podskok mógłby go wysłać dziesięć metrów w górę. Po takim podskoku dryfowałyby przez dwadzieścia sześć sekund, zanim ponownie dotknąłyby podłoża z prędkością pięciu kilometrów na godzinę. Każdy sus o sześćdziesiąt jeden metrów przybliżał go do krawędzi grani, napawając optymizmem, który mógł okazać się tak samo zgubny jak jego wątpliwości.

Udany skok wymagał, by prędkość nie przekraczała trzech metrów na sekundę i by nie roztrzaskał się o krawędź grani. Pomimo, że ważył tu cztery funty kolizja przy prędko-

ści sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę i rzeczywistej masie czterystu funtów ciała i żelaza byłaby tak samo niebezpieczna jak wypadek samochodowy w pobliżu rodzinnego domu. Nawet drobne otarcie o skałę mogłoby zniszczyć skafander.

Szósty krok zamykał przed nim drogę odwrotu; gdyby strach opanował go właśnie w tej sekundzie i gdyby nie potrafił nad nim zapanować, gdyby się zawahał lub zeszywniał, jego masa przy kolejnym kroku spowodowałaby niekontrolowany poślizg i twarzą w dół runąłby zbyt blisko krawędzi. Prawa ruchu na planetach o tak niewielkiej masie jak Miranda wymagały dwudziestu do trzydziestu drobnych kroczków na przestrzeni jednego kilometra, by mógł się zatrzymać.

Trzydzieści metrów przed przepaścią rozejrzał się. Po obu jego stronach opadały dwie kule z kamerami, jak wierne psy.

Nad jedną z nich płonęły zorze, ostatnie okrzyki elektronów słonecznych, zanurzających się i zmieniających linie pola magnetycznego, tak by zderzyć się z atmosferą Urana.

Odepchnął się od zmrożonej powierzchni Mirandy i poszybował w otwartą przestrzeń. Kule z kamerami podążyły za nim.

Przez piętnaście minut - powtarzał sobie - tak długo, jak długo trwać będzie transmisja do wewnętrznego systemu słonecznego, jego imię ponownie znajdzie się na ustach wszystkich ludzi.

Przez pierwsze trzy sekundy czuł się jakby zawieszony w przestrzeni. Od krawędzi grani dzieliło go zaledwie dziewięć metrów, a opadł o niecałe pół metra. Radość jak ciepło buchała od niego. Wraz z upływem sekund coraz wyraźniej czuł się jeźdźcem, który stanowi jedność ze swym koniem. Tuż po włączeniu silników stabilizujących lot stwierdził, że ma dość czasu, by się rozejrzeć wokół. Odwrócił się od skały. Nadal poruszał się w poziomie, toteż opadał nie więcej niż

kilka centymetrów na sekundę. Przez kilka ciągnących się w nieskończoność sekund znajdował się nadal na wysokości skalnej krawędzi, ale o trzydzieści jeden metrów od jej brzegu.

Nagle wydało mu się nieprawdopodobne istnienie tej wysokiej na szesnaście kilometrów skały. Ze statku widać było, jak z trzech jej punktów rozchodzą się wyżłobienia, podobne kręgom na wodzie powstającym po wrzuceniu kamienia, z tą jedynie różnicą, że te kręgi miały średnicę 161 kilometrów. Zdawało się, że zostały ścięte przez mróz, zanim zdążyły się rozejść po pofałdowanym terenie. Kanion usytuowany był na skraju jednej z kolein, tam gdzie wewnętrzne ciśnienie rozerwało skorupę i wytworzyło dominującą nad okolicą skałę. Nikt nie potrafił mu wytłumaczyć, jak powstały te wyżłobienia, wątpił też, by ktokolwiek znał odpowiedź na to pytanie.

W ciągu kolejnych dwudziestu sekund odpalił stabilizatory utrzymujące ciało w pozycji pionowej. Odczyt na wyświetlaczu pokazywał, że w przeciągu pierwszej pół minuty oddalił się od krawędzi o dziewięćdziesiąt jeden metrów, a opuścił o czterdzieści trzy. Po dokonaniu obrotu jego prędkość pionowa zsynchronizowała się z prędkością poziomą. Nagły przyptyw adrenaliny spowodował, że czas zaczął szybciej biec, a jego zmysły oswoiły się z konsekwencjami opadania.

Kule z kamerami w środku również odpaliły swe rakiety i dotrzymywały mu towarzystwa. Zamachał ku nim, opadając leniwie z prędkością dwudziestu jeden kilometrów na godzinę.

Krawędź grani była teraz 183 metry nad nim. Okalały ją niewiarygodnie wąskie pierścienie Urana. Nagle olśniło go, że przy prędkości 193 kilometrów na godzinę mógłby przeskoczyć ten kanion i orbitować wokół Mirandy w swym ulubionym staruszku dodge'u darcie z 1967 roku. Oczywiście potrzeba by było kilku zbiorników z tlenem dla spalenia ga-

zów i balast wielkości garażu, by zapewnić oponom wystarczająco silną przyczepność...

Uważaj, ostrzegł sam siebie. Będziesz miał dosyć czasu na wymyślanie nowych numerów, jak wyjdiesz z tego żywy.

Ponownie spojrzął na wyświetlacz. Litery i cyfry migały mu przed oczami, uświadamiając, że nie został włączony żaden system zabezpieczania danych. Ekran informujący o przebiegu skoku wskazywał:

Czas - 2 minuty

Głębokość - 0,80465 kilometra

Prędkość - 41,8418 km/godz.

Kolejne trzysta siedemdziesiąt siedem metrów różnicy i całkowicie odmienny wygląd ścian kanionu. Ślad po prawej stronie musiało wyżłobić coś szczególnie wielkiego. Trudno było ocenić, kiedy to się stało. Może przed milionami lat, kiedy to dinozaury wędrowały przez Montanę, kawał lodu oderwał się od grani, by w niecałe dwie minuty później opaść na dno kanionu. Bardo opadał równoległe do drogi przebytej przez tamtą starożytną bryłę lodu.

W uchu odezwał się alarmowy dzwonek. Przerazenie sparaliżowało go na krótką chwilę. Nagłe odchylenie do tyłu naruszyło równowagę ciała i musiał odpalić silniki rakietowe, by ją odzyskać.

- Co się dzieje? - zażądał wyjaśnień.

- Przykro mi - odpowiedział Cusack - ale mamy mały problem.

Jakby w odpowiedzi na te słowa jedna z kamer znalazła się natychmiast dziesięć metrów nad głową Bardo i zaczęła filmować go na tle rozdziawionej gardzieli kanionu.

Nagle na swoim wyświetlaczu zobaczył schemat raketnicy.

Jedna z magnetycznych cewek wysyłała czerwone ostrzegawcze światło. Obraz znikł i zastąpił go diagram cewki i całego zamocowania z odpowiednim opisem. Jedna z

pięćdziesięciu magnetycznych cewek raketnicy nawaliła. Opuścił broń i nacisnął spust.

I nic.

Nie wpadaj w panikę! Wieloletnie doświadczenie zdławiło strach i pozwoliło mu skoncentrować się na wyposażeniu, którego był współkonstruktorem i budowniczym. Otworzył obudowę.

Czas - 3 minuty Głębokość - 1,6093 kilometra Prędkość - 64,372 km/godz.

Zauważył zepsutą cewkę w jednym z podzespołów, pozabawionym teraz jakiegokolwiek zabezpieczenia. Coś spowodowało wadę przewodnicy o kształcie toroidu. Stalowe kule muszą przechodzić przez magnetyczny tunel, następnie przez dziurę w toroidzie. Nie wiadomo, dlaczego wewnętrzna ścianka toroidu wybrzuszyła się, blokując tunel i komputer, który automatycznie nie dopuszczał do oddania strzału. Bardo zdał sobie sprawę, że w chwili obecnej nawet wadliwy strzał dawał mu większą szansę przeżycia niż brak strzału.

Walcząc z cewką był świadom ciągłego spadania. Coraz szybciej migąca mu ściana kanionu, oddalona zaledwie o trzy czwarte kilometra. Dno piętnaście kilometrów pod jego stopami, jak wielka packa na muchy, zbliżało się z coraz większą prędkością. Cewka z trudem weszła na swoje miejsce.

W palcach poczuł przyprawiający o mdłości ból. Powstrzymał oddech, zamykając osłonę, wycelował w oddalone o jedenaście kilometrów dno kanionu i nacisnął spust.

I znowu nic.

Czas - 6 minut

Głębokość - 6,4372 kilometra

Kiedy ponownie otwierał osłonę, zauważył drugi znak na ścianie skały, oddalonej obecnie o dziewięćset metrów.

Bryła lodu spadała przed wiekami, podobnie jak on teraz, z prędkością około 129 kilometrów na godzinę. Nie miał trudności z wyjęciem pękniętej na pół cewki. Z jednej strony widać było maleńki krater, jakby niewielki lej wyżłobiony

przez mikrometeoryt. Kamera zbliżyła się do niego, by sprawdzić rozmiar usterki.

- Czy da się to naprawić? - krzyknął mu do ucha Cusack.

Bardo usiłował wyobrazić sobie, jak w ciągu niespełna dwóch minut naprawia cewkę i wstawia ją na miejsce. Jego umysł analizował wszelkie możliwości, usiłując znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Przyszło mu do głowy co najmniej tuzin rozwiązań, które natychmiast odrzucił. Nie odrywał wzroku od uszkodzonej części. Stwierdził z całą pewnością, że nie spowodował tego mikrometeoryt. Widoczne znaki okopcenia wskazywały, że przyczyną musiał być niewielki ładunek materiału wybuchowego, którego wybuch obliczony był na odłączenie cewki, by stworzyć dodatkową sytuację kryzysową, wpływającą na zwiększenie wyników oglądalności.

Czas - 7 minut

Wybuch był niezłym trikiem, ale z braku doświadczenia Cusack założył zbyt duży ładunek, powodując pęknięcie cewki na pół. Bardo zastanawiał się, jak wyjść z życiem z tej sytuacji, wyobrażając sobie swego sponsora, który z ponurą miną zawiadamia teraz cały świat o nieuchronnej śmierci Wielkiego Lexa Bardo. Jeśli nawet uda mu się naprawić uszkodzenie, dojdzie do ponownego pęknięcia cewki w trakcie oddawania strzału i system zabezpieczenia zablokuje raketnicę. Nawet jeśli uda mu się wystrzelić z niej, może to ją rozerwać na kawałki. Jedynym wyjściem jest próba awaryjnego lądowania bez cewki, przy ograniczonej sile ciągu, w nadziei, że ma dosyć kul w zapasie, by zrównoważyć różnicę.

Ponownie zamknął osłonę. Połamanymi kawałkami cewki strzelił w kierunku kamery, pudłując.

Czas - 8 minut

Oddał trzy próbne strzały w dół. Stwierdził zmniejszenie się prędkości. Silniki dostosowały swoją prędkość, by utrzymać go w pozycji pionowej. Odetchnął z ulgą i zaczął

wyobrażać sobie, jak trzyma Cusacka na muszce, prowadzi do krawędzi skały i spycha w dół. Gdyby nawet udało mu się wylądować bezpiecznie, nie czekałaby tam na niego sonda, by zabrać go na górę. Musiałby sam wdrapać się na grań.

Czas - 9 minut

Opadał zbyt szybko, by zauważyć kolejne znaki wyryte w skale. Zbliżał się do dna kanionu z prędkością prawie 189 kilometrów na godzinę. Ostatni kilometr pokona w niecałe czterdzieści sekund. Odetchnął głęboko i wystrzelił trzy kolejne kule.

Rakietnica jeszcze działała.

Zauważył teraz nowe szczegóły. Okazało się, że niewielki krater pod jego lewą stopą kryje w sobie mnóstwo małych kraterów. Pięć sekund później stwierdził, że jeden z nich aż roi się od wielu jeszcze mniejszych kraterków. Wystrzelił dwie kolejne kule. Jeśli rakietnica zawiedzie go w tym momencie, własnym ciałem wyżłobi swój krater.

Półtora kilometra nad dnem krateru obserwował krótką linię horyzontu, oddalonego zaledwie o kilkaset metrów, ograniczonego ścianami kanionu. Pod stopami dno kanionu wilo się z północy na południe. Osiągnie je z prędkością 200 kilometrów na godzinę. Kamery zmniejszą swą prędkość i będą unosić się nad tym, co pozostanie z jego skafandra i... z niego.

Strzelał teraz jak szalony. Dwieście, trzysta, czterysta kul opadło w dół. Na wysokości 549 metrów zauważył formację kraterów, które sam stworzył.

Z tą samą łatwością oddał kolejnych czterysta strzałów, zmniejszających prędkość. Strzelał do czasu, gdy nagle tysiące iskrzących drobin buchnęło z lufy jak lśniące konfetti.

Domyślił się, że jedna ze stalowych kul musiała zahaczyć o ceramiczną osłonę i roztrzaskała ją w drobny pył.

- Wyrzucam rakietnicę! - krzyknął do swego komputera.
- Zapasowy zbiornik z tlenem i zapasowy zbiornik paliwa!

Wyrzucony sprzęt poszybował w dal. Kamery zatrzymały się, by śledzić jego tor.

Zredukowanie masy było obecnie jedyną możliwością zmniejszenia siły uderzenia. Chciało mu się krzyczeć, ale powstrzymał się.

Już miał wyrzucić komputer, gdy jedno spojrzenie w dół uświadomiło mu, że zawisł w przestrzeni na wysokości 153 metrów nad dnem kanionu. Tak poważne zmniejszenie prędkości było efektem wystrzelenia ośmiuset kul. Opadał wolno. Nie minęła kolejna minuta i osiągnął cel. Odetchnął z ulgą, obserwując raketnicę, butlę z rezerwą tlenu i jedną z kamer, miękko opadające na sypki grunt, tuż przed nim.

W uchu usłyszał radosny krzyk Cusacka. Siłą woli opanował się, zdecydowany nie zniszczyć całego przedstawienia.

Zamachał ręką w kierunku kamer i badawczo rozejrzał się wokół.

Sto metrów dzieliło go od bryły lodu, która wyźłobiła znaki w ścianie kanionu. Podskoczył do niej jak do starego, dawno nie widzianego przyjaciela. Obie kamery podążyły jego śladem. W połowie drogi zwolnił i zatrzymał się w cieniu górującej masy lodu. Włączył światło na kasku i zaczął obserwować dziobatą, lodowatą powierzchnię. Wyciągnął dłoń i dotknął bryły z należytym szacunkiem, następnie odchylił się, by spojrzeć w górę. Wydawało mu się, że widzi oddaloną o 16 kilometrów krawędź grani.

Odetchnął głęboko, zanim obrócił się, by zamachać ręką przed kamerami. Czekał na sondę, która zabierze go na statek, rozkoszował się tą chwilą. Obserwując statek błyszczący na tle Urana wiedział, że krótka chwila jego glorii została skradziona temu potężnemu, otoczonemu pierścieniami, kosmosowi.

Gdy statek zwiększał szybkość do pierwszej kosmicznej, umożliwiającej powrót na Ziemię, Bardo udał się do kabiny Cusacka.

- Wejdz, wejdz - zapraszał sponsor, wyłączając przy tym, niby przypadkowo, ekran z danymi. - Świetnie się spisales na Mirandzie - dodał.

W tym momencie Bardo uświadomił sobie, że Cusack nie podejrzewa go o wykrycie sabotażu.

Gdy Cusack obrócił się ku niemu, Bardo schwycił go ręką za gardło i powoli wzmacniał uścisk. Cusack zaczął się ślinić, próbował coś powiedzieć.

- Powiniennem być zabrać cię ze sobą i zmusić do skoku!

- Pozwól mi wyjaśnić - zdołał wyszeptać Cusack.

Bardo rozluźnił uścisk.

- Byle szybko.

- Wiedziałem, że ci się uda! - krzyknął Cusack.

- Czy naprawdę sądziłeś, że tego nie wykryję?

- Wierzyłem, że niezależnie od wszystkiego, uda ci się.

To było wielkie przedstawienie!

Bardo uśmiechnął się.

- I takim mogłoby pozostać bez dodatkowych efektów. Fakt, że mogłem zginąć, jest bez znaczenia.

Mocniej chwycił Cusacka za gardło i zaczął unosić w powietrze.

- Proszę cię! - pisał Cusack.

- I co masz mi teraz do powiedzenia?

Spojrzenie Cusacka było pełne przerażenia, lecz lśniły w nim także isierki triumfu. Bardo puścił go z czystej ciekawości.

- Przepraszam - powiedział Cusack masując krtań. - Przyznaję, był to debilizm, ale dzięki temu twój sukces jest jeszcze słodszy, no nie? Pomogłem ci odzyskać poczucie własnej godności. Spójrz na siebie. Jesteś ponownie silną bestią, w każdej chwili gotową do ataku.

- Zawsze byłeś mocny w gębie - przyznał Bardo. - Co robiłeś, gdy tu wszedłem?

Cusack ponownie wyglądał na przerażonego.

- Zajmowałem się twoimi sprawami.

- Co to znaczy?

- Tylko nie wściekaj się znowu - odpowiedział Cusack cofając się w kierunku monitora.

Bardo przystał na to i usiadł tuż obok Cusacka, który ciężko opadając na swój fotel powiedział: - Sprawdziłem, czy przekazano honorarium na twoje konto. Jutro rano zostaną spłaćeni twoi dłużnicy, ale zadbałem, by zostało ci coś ekstra. Możesz to traktować jako premię za nie przewidziany wypadek przy pracy.

- O czym ty mówisz?

- To koniec. Nie będzie już więcej forsy. Firma jest w takiej samej sytuacji finansowej jak ty. Wpływy pomogą spłacić długi i... po nas. Gdy wrócimy do domu, firmy już nie będzie.

Bardo z wielkim trudem hamował narastającą w nim wściekłość. Na swój sposób Cusack oddał mu przysługę. Skok sam w sobie byłby fraszką.

- Moje długi zostaną spłacone? - zapytał ponownie.

Cusack spojrział na niego z wdzięcznością.

- Jak tylko sygnał osiągnie Ziemię. Wrócisz do domu jako wolny człowiek. Jeśli chcesz, mogę nawet przez pewien czas być twoim menedżerem, by pomóc ci w łagodnym przejściu na emeryturę. Forsę możesz zarabiać na wiele przeróżnych sposobów. Nie musisz przez całe życie być kaskaderem.

Bardo spojrział na niego i zobaczył człowieka zdesperowanego.

- Powinienem cię zabić lub pozwać do sądu.

- I co by ci to dało?

- Sam też jesteś w nie lepszej sytuacji, co?

Cusack przytaknął ruchem głowy.

- Będę musiał poszukać sobie pracy.

- Powiedz mi, czy ktoś w firmie zgarnie grubszą for-
sę?

- Bardzo możliwe, ale nie możemy tego udowodnić.
Gdy tylko wierzyciele odbiorą, co im się należy, firma prze-
stanie istnieć. Tak to zostało pomyślane. Twój skok umożli-
wił tę operację.

I nic już nie było więcej do dodania. Bardo zastanawiał
się, czy aby Cusack nie wymyślił całej tej historii, by zatkać
mu usta. Będzie się mógł o tym przekonać po powrocie do
domu, za trzy tygodnie.

Gdy wstał, Cusack z przerażenia aż zapadł się w swój fo-
tel. Odetchnął dopiero, gdy Bardo skierował swe kroki do
wyjścia.

- Dobrej nocy - pożegnał go Lex.

Zwiększające się przeciążenie fatalnie odbijało się na je-
go samopoczuciu.

- Prześpij się trochę - rzucił za znikającą w drzwiach
postać Cusack.

W swej kabinie Bardo wsłuchiwał się w szum silników i
usiłował wyobrazić sobie skromne życie emeryta. Jednak już
po chwili zaczął przemyśliwać, jak zdobyć nowych sponso-
rów, dzięki którym mógłby powrócić na Mirandę, by pokonać
skałę na swym dodge'u darcie z 1967 roku. Sen przyniósł mu
nowe przeżycia. Zanurzał się w głębokie wody oceanu na
Uranie, gdyż tylko tam, pod tak wielkim ciśnieniem, zacho-
wał się węgiel w formie szafirowo-różowych, pomarańczo-
wych i błękitnych diamentów, w blokach tak wielkich jak
gmachy ziemskich biurowców. Rzucił się na koi, śniąc o
mrozących w żyłach krew wyczynach. Jego ciało nie znało

Zebrowski George - Och Miranda spokoju. Pożądało
wciąż nowych przygód, ciągłego ruchu. W oddali wtórował
mu cichy śpiew. zapewniając go, że gdy przyjdzie mu oddać
ten ostatni skok w śmierć, wykona go bez strachu, tak jak bez
strachu opadał na dno kanionu Miranda.

Przełożyła Jolanta Tippe

Warianty Eichmanna

(The Eichmann Variations)

*Musi umrzeć
i człowiek i bestia
tak jedno jak i drugie.*

Brahms - "Pieśni"

*O Niemcy...
Słyszac przemowy,
które rozbrzmiewają w całym kraju,
człowieka śmiech bierze.
Ale ten, kto was zobaczy, sięgnie po nóż.*

Bertold Brecht

*Ponieważ popierałeś i wcielałeś w czyn zasadę niedziele-
nia życia na Ziemi z Żydami i ludźmi wielu innych narodowości
-jakbyś ty i twoi zwierzchnicy mieli jakiegokolwiek prawo okre-
ślać, kto powinien, a kto nie, zamieszkiwać ten świat - okazuje
się, że od nikogo, to znaczy od żadnego przedstawiciela ludz-
kiej rasy nie możesz oczekiwać, by chciał cię mieć za współ-
ziomka. I to jest właśnie powód, jedyny powód, dla którego
musisz zostać powieszony.*

- Hannah Arendt - "Eichmann w Jerozolimie"

1. Szczegóły poznałem już po wojnie. Naukowcy pocho-
dzenia żydowskiego zebrali się w Ameryce, ponieważ posta-
nowili stworzyć broń, która miałyby się stać narzędziem ze-
msty. Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak opisywano w
brukowych, fantastyczno-naukowych pisemkach amerykań-
skich, którymi zaczytywał się von Braun (po wybuchu wojny
prenumerował je za pośrednictwem krajów neutralnych).
Zespół fizyków zebrał się w jakimś tajnym laboratorium
gdzieś na pustyni i posługując się teorią stworzoną wiele lat
wcześniej wymyślił bombę atomową.

Nie wierzyłem, że Berlin, Monachium i Drezno znikną
z powierzchni Ziemi do chwili, jak magazyn "Life" po oficjal-
nej kapitulacji w 1946 roku zamieścił zdjęcia. Wtedy już od
kilku miesięcy przebywałem w Argentynie. Prowadziłem
spokojne życie i miałem nadzieję dożyć swoich dni w samot-
ności.

Japończycy uniknęli ataku atomowego. Jak tylko otrzy-
mali od swych agentów raporty o ogromnej sile bomb zrzu-
conych na Europę, poddali się. Trudno się dziwić, że trakto-
wałem te doniesienia sceptycznie. Kto uwierzyłby w nie,
zwłaszcza po naszych kiepskich doświadczeniach z cudowną

bronią V-2. Speer uznał, że jest to broń zbyt kosztowna, jak na swoją siłę niszczenia. A dobry był z niego zarówno inżynier jak i ekonomista.

Przez dwadzieścia lat obserwowałem, jak Żydzi budują ten swój Izrael. Rósł w siłę i zdobywał coraz większy prestiż, aż wreszcie dominował nad całym Bliskim Wschodem. Wszyscy pokochali ich serdecznie, ale czyż mogło stać się inaczej?

Pierwszym cudem, jakiego dokonali, było stworzenie Fabryki Manny. Z samego piasku, przy umiejętnym sterowaniu procesami fizycznymi i biologicznymi, wytwarzała dobra spożywcze i nie tylko. Napędzana niewyczerpaną energią słoneczną, działała bez żadnych przerw, dostarczając sąsiadnim krajom tyle pożywienia, by ich mieszkańcy mieli zawsze pełne brzuchy.

Czytałem o tym w "Reader's Digest".

W chwili gdy Semici obdarowali Ziemię, świat zapadł w pokojowy letarg. Przynajmniej pozornie. A przecież ci cudotwórcy mogli równie dobrze pracować dla naszego Fuehrera, gdyby tylko starał się o ich przychylność i gdyby już samo ich istnienie nie budziło w nim zaślepiającej odrazy. Byliśmy zbyt zażarci w swoich przekonaniach. Skoro w naturze niższych gatunków leży służyć tym, którzy im na to pozwalają, powinniśmy byli pozwolić żydowskiemu czarownikom zbudować dla nas największe piekarnie w Europie, a nasze armie podążałyby ku zwycięstwu, utuczone na pożywieniu, którego podstawą byłby surowiec otrzymywany przez podludzi.

A teraz oni, syci i bezpieczni, zaczynali pielęgnować chęć odwetu. Odkryli mnie w 1961 roku i porwali gdy spokojnie spacerowałem nad brzegiem morza. Zawieźli mnie do Jerozolimy luksusową łodzią podwodną. Najprawdopodobniej stało się to za sprawą wynalezionej przez nich wyrafinowanej, sztucznej inteligencji, nazwanej Umysłowością Majmonidesa (którą posługują się również przy zarządzaniu gospodarką).

Opierając się na skomplikowanej analizie możliwości i skąpych okrucach plotek zdołali wreszcie odgadnąć, gdzie najprawdopodobniej mogą mnie znaleźć. Wspomniane urządzenie, wykorzystując satelitę, wykonało zdjęcia śladów moich stóp i łysej głowy.

Świat ciągnący korzyści dzięki osiągnięciom naukowym i technologii Izraela, nie zwrócił uwagi na porwanie.

Nazistów uważano za osobliwą i rzadko spotykaną odmianę ludzi, których żydowscy dobroczyńcy zbierali z siebie tylko znanych powodów.

2. Dziesięć szubienic.

Te straszdyła, każde z moją twarzą, umierają w systemie dziesiętnym.

Każdego ranka jestem dziesięć razy powielany, a potem zmuszają mnie do oglądania egzekucji moich kopii. Te spoglądają na mnie ze zdziwieniem. Dobrze wiedzą, kim sami są, zastanawiają się więc, kim ja jestem. Dlaczego nie stoję razem z nimi na szafocie? A mnie dręczy pytanie, czy noszą w sobie moje wspomnienia? Czy też ich twarze są tylko pustymi matrycami, kalką mojej twarzy, poznaczoną tymi samymi zmarszczkami. Ale nawet jeśli pamiętają to, co ja, są niewinni.

Cóż mnie jednak obchodzą moje sobowtóry?

Wyobrażam sobie, jak się wdzieram pomiędzy nie. Ukryty w grupie, odmówiłbym moim dozorcóm satysfakcji wiedzy, kogo zgładzają. Niewinność jest jedynym, co odróżnia ode mnie moje sobowtórów.

Dlaczego?

Ponieważ nie istniały, gdy ja popełniałem owe, tak zwane, zbrodnie. Winny jest tylko oryginał, matryca. Ale nie wdrę się pomiędzy nie, nie chcę umrzeć anonimowo.

Zmuszają bym patrzył, jak ciała moich kopii stapiają się w płomieniach. Żar spala je do szczytu. Pozostaje jedynie gaz, który umożliwi odzyskanie podstawowych pierwiastków.

Gdybyśmy to my mogli zastosować ten system! Problem ostatecznego rozwiązania przestałby istnieć do 1941 roku.

3. Sens pozbawienia życia wrogów rasy polega na odebraniu im przyszłości, na uniemożliwieniu wcielenia się w ich dzieci. Strumień historii zakręca, biegnie w innym niż poprzednio kierunku. Po takiej zmianie całe kultury żyją i umierają tam, gdzie dawniej przedstawiciele nieświadomego siebie gatunku chlubil się posiadaniem równin, mórz, lasów i niebios.

Oni są odważniejsi, ci żydowscy uczeni, nie boją się dzierżenia władzy. Dawniej bywali zażenowani i tchórzliwi.

Wielu okazywało się homoseksualistami. Cóż oni mogli wiedzieć o prawdziwej wolności, oni, którzy nie odważali się zrobić niczego, co dyktowało im serce. Prawdziwy człowiek słucha tej wewnętrznej pieśni, którą tak dobrze znał Fuehrer.

W kilka lat po wojnie przeczytałem, że niektórzy z tych, co przeżyli, zaczęli tęsknić za wojną, obozami zagłady i niewolnictwem.

4. Dzisiaj rano, równo rok od dnia mego uwięzienia, śniła mi się otchłań piekielna. Przypęłzała tam na czworakach olbrzymia, ponura bestia. Miała skórę jak papier ścierny, szaroczną, pokrytą wrzodami. Podniosła się i odezwała do tłumów, które tłoczyły się za balustradą.

- Rasa ludzka nie jest dla mnie rodziną - rzekła, gdy tłum cofnął się przerażony jej wielkością. Głos bestii był cichy, kulturalny, groźny. - Tego uczył mnie ojciec.

Rasa ludzka nie jest mi bliska.

Dało się słyszeć głośne oddechy i szepty stojących w tłumie, który zbliżył się, by przypatrzeć się tragicznej, wyraźnie małpiej w rysach twarzy.

Ktoś odezwał się:

- Złapali ją u źródeł Amazonki. Pochodzi z rodu olbrzymich wydr mieszkających na drzewach.

Nie chciałem spojrzeć bestii w oczy. Światła na arenie zamigotały. Pociemniało.

- Sami widzicie - powiedział ten sam głos, co poprzednio - w istocie ona wcale nie jest inteligentna. To tylko jakiś miły i wrażliwy człowiek nauczył ją tej przemowy. Ale mamy do czynienia jedynie z czymś w rodzaju mimikry...

Obserwowałem bestię kątem oka. Stworzenie patrzyło na mnie, zdawało sobie sprawę z mojej obecności.

Obudziłem się i zapragnąłem zobaczyć słońce. W mojej więziennej celi nie czuło się upływu dnia i nocy. Jakby czas zatrzymał się w miejscu.

5. Dzisiaj odwiedził mnie jeden z moich braci.

- Jak leci? - zapytała kopia.

- A tobie?

Wzruszył ramionami.

- Choć nic nie mam na sumieniu, pełen jestem twoich myśli i wspomnień. Chyba powinienem się wobec tego przyznać do popełnienia zbrodni. Wszystko, co pamiętam na temat naszych czynków, wydaje mi się koszmarem, z którego się właśnie przebudziłem.

- Powiedzieli ci, że umrzesz? - zapytałem patrząc prosto w swoje własne oczy,

Uśmiechnął się.

- Ja jestem wybraną próbką. Będę dla nich pracował. Chcą zrobić ze mnie robotnika na farmie, choć tak naprawdę

to już wcale nie uprawiają ziemi. Będę publicznie wyrażał skruchę.

Obaj dokładnie wiemy, co chcieliby usłyszeć. Nie zabijają mnie.

- To zdrada - wyszeptałem.

- Zdrada? Czego? Chcesz, bym umarł wraz z innymi kukłami, którymi cię zadreczają? Wtedy stworzą następnego, na moje miejsce.

- Ależ ty jesteś mną!

Skinął głową i dotknął mojej ręki.

- Tak by się mogło zdawać, gdyby nie fakt, że wszystko mi wyjaśnili. Rozgrzeszają mnie okoliczności pochodzenia. Czy tego nie rozumiesz? Mnie wybaczoneo.

- Ale przecież oni mogą kłamać! Nie pomyślałeś o tym? Ja mógłbym być tobą, a ty mną.

- Ale nie jestem - odparł spokojnie. - Bracie, wyobraź sobie, że masz szansę naprawienia zła, które wyrządziłeś.

Albo dowiedziałeś się, że jesteś jedyną kopią ciała i pamięci tego, który zło wyrządził, a twoje ciało narodziło się dopiero kilka dni temu. Wyobraź to sobie.

Przekonanie, że nie jest mną, sprawiało mu przyjemność.

Wiedziałem, co on czuje i co ja czułbym, gdybym był nim.

- Jesteś częścią mnie i nie unikniesz kary.

- Będę z tobą szczery - odparł. - To model jest winny, jeśli mieści w sobie określone przekonania. Ale fizyczna wina jest związana z modelem pochodzącym z określonego czasu. Nie ma znaczenia, czy ja mógłbym postępować jak ty - choć oczywiście jestem w to wplątany, nie z własnego wyboru jednak cieleśnie nie jestem winny. Wybij to sobie z głowy.

Mnie tam po prostu nie było. - Wstał i popatrzył na mnie, jakbym był dzieckiem niezdolnym pojąć jego słowa.

6. Dzisiejszej nocy przemówił do mnie Fuehrer. Usłyszałem jego głos: "Adolfie, nigdy tak naprawdę nie zrozumiałeś najgłębszych motywów konieczności zagłady Żydów. Wiedziałeś tylko, że mają być znienawidzeni i wymordowani. Swym pospolitym umysłem nie jesteś w stanie pojąć, w odróżnieniu ode mnie, tej wewnętrznej potrzeby powrotu Germanów do korzeni."

Obudziłem się i zrozumiałem, że to moi prześladowcy nasączyli me myśli wspomnieniami o Fuehrerze. W jego głosie słyszałem ton nagany.

Lecz teraz wiedziałem również, że tak naprawdę nie są w stanie mnie ukarać. To, co odgrywają, przypomina mi kukielkowe przedstawienie i nie może się równać z obozami, piecami i niekończącym się szeregiem pociągów pełnych świeżych ciał.

Wygrałem. Nawet jeśli mnie powieszają, nie zwyciężę.

Tchórze! Nawet nie zakrywają moich twarzy przed śmiercią, by ukryć tę prawdę.

7. Nie mają zamiaru nikomu powiedzieć o tym, co tutaj ze mną wyrabiają. Jestem przedmiotem psychologiczno-biologicznego eksperymentu kopiowania człowieka. Ich jajo-głowi twierdzą, że odkryją niezgłębione dotychczas tajemnice natury ludzkiej. Prawda o przestępstwach, mających wymiar historyczny, o zasadności zemsty, o oczywistej słabości i banalności zła, stanie całkiem obnażona przed ich oczami.

Zacząłem się zastanawiać, czy ja w ogóle jestem tym prawdziwym Eichmannem. Oni nie odpowiedzą mi na to pytanie.

W głębi duszy żywią nadzieję, że wreszcie docenię jedyłą w swoim rodzaju możliwość, jaką mi stworzyli: oczyszczenia sumienia, odzyskania poczucia braku winy. Oni zawsze będą mieli dla swych badań jakiegoś Eichmanna, nawet na długo po mojej śmierci. Nie znajdują w sobie dość siły, by

mnie unicestwić całkowicie. Im jest potrzebna próbka mojej nikczemności.

8. Dzisiaj przyszedli wytłumaczyć swoje postępowanie.

- Zabić pana jeden raz - rzekł ich siwowłosy rzecznik - oznaczałoby hańbę dla pamięci pomordowanych. Wszyscy zgadzamy się, że taka kara byłaby niedostateczna.

- Ile moich kopii już zdołaliście zgładzić? - zapytałem.

- Ginie ich dziesięć na godzinę. Przez te wszystkie lata... wreszcie uda nam się dojść do sześciu milionów.

Splunąłem.

- Wy idioci! Dla mnie nie ma kary!

- Robimy doświadczenia - odparł.

- Nikt nie potrafi mnie ukarać - zawołałem przepojony nagłą radością.

- Ani wybaczyć - odrzekł cicho.

- Nie jesteście lepsi ode mnie.

- W obozach nie było bohaterów, panie Eichmann, tylko walczący o własne człowieczeństwo ludzie. Może pan tylko siebie winić.

- Wasza zemsta będzie moją wiktoria.

- Być może. Już mówiłem, że kara zawsze okazuje się niewspółmierna. Jest pan karany, by nigdy nic takiego się już nie zdarzyło. Myślę, że karanie w ogóle jest działaniem daremnym. I właśnie dlatego, ponieważ nie wierzymy w skuteczność kary jako metody odstraszenia czy reedukacji, wróciliśmy do zasady "oko za oko". - Westchnął głęboko. - Nic więcej lub lepiej nie możemy zrobić, nikt nie może. Za sześć milionów Żydów sześć milionów niemieckich ciał. I to ciał stworzonych naszym rozumem, z naszej ziemi i boskiego słonecznego światła, panie Eichmann.

Utkwiłem w nim wzrok i powiedziałem:

- Niewinność w waszych oczach nie jest dla mnie nagrodą.

Nie wypieram się niczego.

Wzruszył ramionami.

- Rozumiem. To jedyny sposób, w jaki nadal pan nas może zbrukać. Z tego właśnie powodu w pana przypadku wymierzanie sprawiedliwości musi mieć charakter bardzo osobisty.

Osobiście zabiję pana, panie Eichmann. W przyszły poniedziałek.

9. - Jeszcze jedna grupa zatwardziałych? - zapytał siwowłosy mężczyzna.

- Tak - odparł młody doktor.

- Odróżniają się czymś?

- Nie bardzo. Nieco inny sposób wysławiania, ale to wszystko.

- Ustaw ich dziesiątkami.

- Jak długo jeszcze będziemy to robić? - spytał doktor.

- W nieskończoność, choćby to nic nie dało. Istnieje możliwość, że nasza próbka jest zbyt mała i dlatego nie potrafimy wykazać, że dusza ludzka posiada jednak anielski charakter. Musimy dać mu wystarczająco wiele szans.

Nie potrafię pogodzić się z myślą, że zamieszkująca każdego z nas bestia nie jest tylko szczątkową pozostałością.

- Powinniśmy zabić oryginał i skończyć z całą sprawą - powiedział doktor.

Siwowłosy mężczyzna westchnął i potrząsnął głową.

- Jego wina uległaby wtedy zapomnieniu. Musimy krzywdę wynagrodzić karą. Nie możemy pozwolić, by zabrał ze sobą winę do grobu.

- Ale sobowtóry...

- One są oczywiście w technicznym sensie niewinne, lecz mimo wszystko noszą w sobie model winy. Jego wina nie może być powielona, ale jest przekazywana. Nowe pokolenia Niemców nie ponoszą winy, lecz jako społeczeństwo dziedziczą ciężar przeszłych zbrodni, czy im się to podoba, czy nie. On sam to powiedział - model jest winny.

- Ale my, dzieci ofiar, stwarzamy teraz naszą własną, nieprzemijającą ofiarę - nie ustępował doktor.

- On żyje w całej ludzkości - odparł siwowłosy mężczyzna.

- żebyśmy nie wiem jak straszliwie go ukarali, nie zdolamy odpłacić za jego zbrodnie.

- Zawsze jesteśmy lepsi od najgorszego - wyszeptał doktor. - A co pomyśleliby ci, którzy zginęli podczas Holocaustu?

Stary człowiek przyjrzał się swym dłoniom, jakby dopiero w tej chwili odkrywając, że je ma.

- Mówiło się, że w czasie Holocaustu rzeczywistość po raz pierwszy prześcignęła wyobraźnię. Ale potem wyobraźnia wycofała się, przygotowując na coś, co przywróciłoby jej znaczenie.

- Na wojnę atomową?

- Doktorze, powstrzymuje nas tylko strach, ale przypuszczam, że rzeczywistość zawsze będzie miała ostatnie słowo. Chyba że potrafimy przemienić się w aniołów.

- Czy wtedy skończymy eksperyment?

- O nie. W ten sposób zmarnowalibyśmy wszystko, co udało się nam osiągnąć. On będzie nadal żył i umierał. Może dowiemy się jeszcze czegoś?

- Czy można mieć nadzieję?

- Jeśli choć jedna kopia wykaże skruchę, zniszczę oryginał i zakończę prace.

10. W tym tygodniu zaczęło mnie męczyć współczucie. Oglądanie dzień po dniu, jak giną moi krewni, spowodowało napięcie mięśni. Wieczorami pokazują mi muzeum pamiątek po tych osobnikach. Zdjęcia, listy, rysunki, ubrania. Wtłaczają obciążone sentymentami obrazy do mego mózgu. Chodzi o to, bym psychosomatycznie poczuł, jak bardzo jestem zjednoczony z innymi. Że za sprawą tych w gruncie rzeczy mało

ważnych drobiazgów jaźń człowieka jest moralnie identyczna jak jego brata, siostry czy sąsiada.

Mogę jednak oświadczyć, że moim prześladowcom nie udało się. Pozbyłem się już niepewności, że jestem swoją własną kopią. Znalazłem bowiem mały tatuaż, jakim mnie oznaczyli... na łokciu. Przerazenie, że mogę być niewinny, skoro bronię prawa do swojej winy, opuściło mnie.

Ponieważ ja jestem sobą, trzymają mnie oddzielnie, a kolejne kopie produkują już z komórek moich sobowtórów. Następne wcielenia są jedynie ożywionymi odpadkami, zwykłymi odbitkami.

Za co one mogą być karane?

W jaki sposób mogłyby być mną, jeśli są niewinne?

Ja nie mogę być powielony.

Przełożyła Zofia Dąbrowska

Spis treści:

Śmierć sztucznych inteligencji.

Generał Jaruzelski w zoo.

Potrzask marzeń.

Słowotop.

Warianty Eichmanna.